

AS



Nr. 29

17 LIPCA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

Motyl paryski

Fot. Photo Georges Jorda

Week-End NA LITWIE

Ostatnie formalności paszportowe i jesteśmy na terytorjum litewskim. Od razu zmiana. Jedziemy ciągle lasem. Jest nas dwóch, podpisany i Karol Słoński. Jakoś dziwnie nam smutno i straszno. I nagle jakby na zew naszych myśli, jakby na tajemnicze zawołanie, Litwini „obskoczą dokola” — „brody ich długie, kręcone wąsiska...”! Zjeżyły mi się włosy. Karol zaś udając śmiałka, pyta ich, czy daleko do Wołkowyszek? — Ni supramtu — odpowiadają. „Więc jak to, mieszkacie przy granicy, a nie rozumiecie po polsku?” — Ni supramtu. — Jak widać, propaganda antypolska zostawiła głębokie ślady. Na drodze dobrych stosunków stoi „ćwiartka papieru”. Pociaszamy się tylko, że to byli drwale. Spotkanie to jednak odebrało nam chęć do dalszej jazdy. Trudno — powrotu niema. Wyjechaliśmy z lasu i przed oczyma naszymi, ukazała się olbrzymia płaszczyna, ciągnąca się od Wołkowyszek po Wornie. Zdawałoby się, że to pustynia, lecz bliższa uwaga pomoże nam odkryć na niej wiele „oaz”, zanurzonych w przestrzeni, jak w rozrzedzonym powietrzu, sterzące niby jakaś chropowatość w miękkich smugach sinej dali. Wiosenne barwy soczystej zieleni palą się na tej palecie światłem jakby fosforycznym.

Ocena odległości, czy poczucie przestrzeni zatraca się tutaj, bo odległości mnożą się nieuchwytnie, niepostrzeżenie, a tak całkowicie, że nawet pojęcie bezmiaru nagle znajduje tutaj swoje dostępne oczom wyobrażenie. Dla nas „ładowców” przestrzeń ta jest obcą, zimną. Marynarz, szczególnie marynarz-emeryt, mógłby na tej płaszczynie zaspokoić swoją tęsknotę przestrzeni, z którym przed sobą „morze”, po którym można chodzić. Wjeżdżamy teraz w krainę prawdziwie litewską. W krainę pięknych przydrożnych krzyży i kapliczek-krzyży, z których Litwa i Żmudź słyną na cały świat. Niemal przed każdą chatką stoi zadumana Matka Boska, albo smutny Syn Boży. Zwyczaj stawiania krzyży pochodzi prawdopodobnie z czasów pogańskich — z czasów, kiedy Perkunasowi stawiano w borach, przy drogach, małe drewniane posążki. Po przyjęciu chrześcijaństwa Perkunasa zastąpiła N. P. Marja i Syn Boży. Najbardziej zwyczaj ten rozkrzewił się na Żmudzi. Tam niemal co kilkanaście kroków spotykamy pochylone krzyże, czy szare kapliczki. Odznaczają się one różnorodnością form i ornamentacji. Rzadko spotyka się szablon. Prawie każdy ma swój odrębny charakter, swoje cechy, nieraz może dziwaczne, dla nas niezrozumiałe, jednak zawsze oryginalne i swoście piękne. Spotykamy na nich nie tylko emblematy Młeki Pańskiej, lecz niejednokrotnie wiele figur zwierząt i kwiatów rzeźbionych. Rzeźby te odznaczają się bogactwem wyobraźni i uczucia. Rzadko gdzie taki wioskowy samouk może zdobyć się na tak oryginalnie wystylizowaną rzeźbę, której nie powstydziliby się zapewne żaden ze znamięńszych mistrzów tej dziedziny. A jakie cudowne są kapliczki, zwane tu „smutkialis”, zapewne od polskiego smutny, bo rzeczywiście, litewski Chrystus jest smutny i zadumany. „Smutkialis” są drewniane, do dwóch metrów wysokie i zbudowane w formie ołtarza. Ołtarz jest zwrócony w stronę gościńca, ubrany w kwiaty i zieleń. Panuje tam bowiem zwyczaj, że po nabożeństwie Litwini spieszą pod krzyż, lub kapliczkę, którą ubierają, zaczynając od samego

Chrystusa, któremu nakładają lniąną sukienkę. Czynią to w każdą niedzielę. Rzeźby te kształtowały się zawsze pod wpływem mentalności ludu. Dzięki więc temu są niezmiernie popularne w szerokich masach, znajdując tam samym w nich licznych odbiorców i stanowią zarazem ciekawy przyczynek dla zrozumienia psychiki zamkniętego w sobie, lecz na swój sposób uczuciowego Litwina.

Ale oto i Taurogi. — Z biciem serca wjeżdżamy do miasta. Zatrzymujemy się na rynku. I, o dziwo, witają nas przyjaźnie! Może nie wiedzą, że jesteśmy Polakami? Ależ wiedzą, nawet próbują mówić do nas po polsku. Z triumfem pokazują Karolowi uśmiechnięte buzie. „Wielki kochanek” (tak nazwał potem Karola) znalazł się momentalnie w objęciach pięknych Litwinek. Rzeczywiście pięknych. Kobieta litewska w przeciwieństwie do mężczyzny, ubiera się bardziej kolorowo i z większym smakiem. Znałe są Litwinki ze swej oryginalnej urody. Są wiotkie i — jak Karol powiada — najbardziej „nowoczesne” z powodu „ładnych linii opływowych”. Rysy twarzy regularne, a z szafirowych oczu wieje jakaś utajona tęsknota. Ubiór „graży mirgiżały” — pięknej dziewczoi — składa się z „rańtasy” — bluzeczki, spódnicy i łapci (starsze), albo pantofli czerwonych lub czarnych. Ubiór mirgiżały posiada pewne cechy piękna. Pastelowość kolorów, czar sennej i smętnej natury litewskiej, doskonale harmonizuje z jej oczyma, pełnymi niewysłowionego smutku. Desenie spódniczki i lniąnej bluzki i kolor oczu spletają się z sobą harmonijnie. Ubierają się tylko w samodziały. Nic dziwnego, bo przecież Litwa jest jednym z największych producentów światowych lnu. Umiejomość tkania dziedzictwem przechodzi z matki na córkę. Od tkaczek roi się w każdej wsi. Prawie w każdej chałupie wiejskiej rozpiera się na honorowem miejscu izby, wielki tradycyjny warsztat, który w wielu wypadkach służy całym szeregom pokoleń. Litwin natomiast ubiera się niegustownie: płócienna siermięga, wełniane szerokie spodnie i nieodłączny kożuch. Na nogach nosi łapcie, robione przeważnie z kory lipowej. Łapcie ich podobnie, jak nasze poleszuckie, mają bogatą wielowiekową tradycję. Przecież ich pierwsi kunigasi (królowie) chodzili w łapciach. Niektóre są przepiękne, bardzo misternej roboty. Wszak do dziś istnieje zwyczaj, że ubiegający się o rękę mirgiżały młodzian, musi pokazać dwanaście par łapci, ale każda różna i od drugiej piękniejsza.

Po miłym postoju jedziemy dalej. Nie zauważyliśmy, jak prędko stanęliśmy w Kirozach. Dziwnym zbiegiem okoliczności trafiliśmy na weselisko. Właśnie weselny korowód, z dostojnym swatem na czele, wychodził z wiejskiego kościółka. My, oczywiście, w ślad za nimi. Przed domem matka przywitała zięcia chlebem, solą i kieliszkiem wódki. Młody nadpił jej trochę, a resztę, wraz ze szklam, rzucił poza siebie. Następnie weszliśmy wszyscy do chałupy. Dopiero teraz zauważono nas, tak, że przy obdzielaniu karawajem gości, poczęstowano nas pierwszych. Karawaj na weselu litewskim odgrywa główną rolę. Jest to rodzaj tortu, z maki pszennej, przetykany cukierkami, piernikami i t. p. Według starych podań, wszyscy, którzy podczas wesela go jedzą, będą potem się kochali. Dlatego nie dziwił mnie zupełnie widok „opychających” się Litwinek i Litwinów. Pieczenie karawaju połączone jest z ceremoniami i pieśniami.

Do pracy tej używa się nie tylko kobiet, lecz i mężczyzn, których zadaniem jest, trzy razy okręcić dziedzą z rozczyntonem ciastem i postawić naprzeciwko pieca. Gdy panna młoda zaczyna zarabiać ciasto, prosi wszystkich obecnych o błogosławieństwo. Goście wtedy odpowiadają pieśniami. To samo jest, gdy wsadzają karawaj do pieca. I płyną wtedy dziwne smutne tony, tony, jakby kołysanki, jakby dumki ruskiej.

Taj dekuj Dievuj had nasz nutekaju,
Taj didi dywaj, didi stebuklaj...

albo

Sese la daržely
Bruļaj listaj nely
Rute leszeju
Žirga baļnoju...

Następna pieśń, przy ceremonii wyjmowania z pieca, jest już żywsza — raźniejsza.

Uj! Uj dieva Dievulaū manu,
Parlaļaj šarpia antyta gavau...

A trzeba wiedzieć, że Litwini pieśń kochają — kochają ją szczerze, całym sercem, jak każdy kamyk swego kraju. Weselisko było dziwnie sztywne. Litwini nie mają tej swobody — tej żywości co Polacy. I gdyby nie Karol, kto wie, czy nie zasnąłibyśmy w polowie ceremonii. Karol szalał! Dosłownie. Demonstrował im oberka, krakowiaka... a w końcu — porwawszy jakąś mirgiżałę i przy „akompanjamencie” własnych nóg, zatańczył z nią zamaszystego mazura. Obrzek był pyszny. Braw dostał co nie miara. Szczególnie od niebieskookich. W ślad za nim ruszyli się Litwini. A Litwin jak się rozochoci, a przy tem podpije, to się bawi do vajkielis (upadłego). Więc naprzód „dukra” (rodzaj kujawiaka) z przyspiewkami

Ej! dukra dukrele,
Kadu tu tajg baļta,
Suri valgianu motymele
i vienne szalele.

Wesele litewskie w ich jednostajnem życiu jest jakby słońcem po długim zachmurzeniu. Lecz mniej żywym, mniej barwnym — niż nasze. Zawsze „tańczy”, „pije” i „śmieje się” z nim jakiś nieuchwytny smutek. Jedno jest oryginalne na weselu, to to, że znajomi młodzieńcy panny młodej zjawiają się nad ranem, aby pożegnać dawną swoją „znajomą”: każdy reprezentuje swój fach, a więc — drwal, rolnik, kowal... i — wreszcie pastuszek z barankiem. Wspomniany obrazek jest naprawdę miły i ma wiele w sobie wiejskiego uroku. Po zabawie weselnej następuje ceremonia rozczesywania włosów panny młodej. Odbywa się to w obecności wszystkich gości. Gdy swat zaczyna rozplatać weselnicy zaczynają śpiewać:

Ejan, Ejan kiely
Naļanziam šakiely
Lelios šakiely
Veliku rita
Lelia prazita.

Moment ten był zakończeniem wesela, a — początkiem naszej dożgonnej przyjaźni z Litwinami. Jak widać „szaleństwo papierowe” nie zostawiło tu śladu. Nie przypuszczaliśmy, że smutna ta kraina, robiąca wrażenie wiecznej jesieni, posiada w sobie tyle uroku i niezapomnianego czaru. Karol zwierzył mi się na „sekretną” konferencji, że po Litwie (czytaj Litwinkach) pozostała mu tęsknota do niebieskich, zadumanych oczu.

A. Nohajski.

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER” S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ

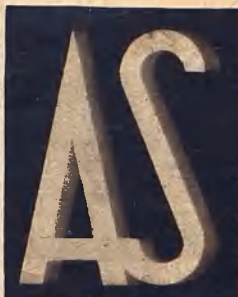
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.

KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIEŁOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66

KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamy 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 29

Niedziela, 17 lipca 1938

Rok IV



Wyprawy campingowe posiadają swoisty urok i stanowią jeden z najzdrowszych i najweselszych sposobów spędzenia wakacji
Na zdjęciu: Namiot wyprawy campingowej i jej uczestnicy przy samochodzie. *Fot. Dr. P. Wolff.*

ASY NUMERU 29-GO: ARCYDZIELA SZTUKI: MODLITEWNIKI. Jak przyozdabiano w przeszłości modlitewniczki, które dzięki wspaniałym iluminacjom stały się cennymi zabytkami sztuki malarzkiej? (Str. 4—5). — PTAKI BEZ GNIAZDA. Zwyczajnie kukulki, która stała się przysłowiowo złą matką, oddającą swoje potomstwo obcym „na wychowanie”. (Str. 6). — PANOWIE! ZACZY-NAMY! Kilka godzin spędzonych w teatrze paryskim w XVII wieku ukazuje nam, jakie od tego czasu zaszły zmiany w technice scenicznej i w wyglądzie audytorjum. (Str. 8). — KSIĘŻYC WINOWAJCĄ. O wpływie promieni księżycowych na ziemię i o znaczeniu ich dla praktycznej radiofonji. (Str. 11—12). — ŚWIĄTYNIA POLSKIEJ KULTURY. Zarówno nowootwarte Muzeum Narodowe w Warszawie, jak też budujące się Muzeum w Krakowie są ważnymi placówkami dla naszej kultury i sztuki, której owoce znajdują odpowiednie pomieszczenie. (Str. 14—15). — KANIBALE A LA FOURCHETTE. Ciekawy reportaż fotograficzny z przygody amerykańskiego dziennikarza, który na krótki czas znalazł się w pieczarach „kanibalów”. (Str. 16—17). — NA SZACHOWNICY EUROPY. Porównanie stosunków politycznych środkowej Europy z r. 1914 z położeniem w 20 lat później wykazuje znaczny wzrost „newralgicznych” punktów w Europie, mogących stać się zarzewiem wojny. (Str. 18—19). — Przebój muzyczny „Asa”: SPOTKANIE: Walc angielski. Muzyka i słowa Władysława Mikulę. (Str. 22). — KWIATY U STÓP HIMALAJÓW. Znana globtrotterka opowiada o życiu kobiet hinduskich, ich zwyczajach i stroju. (Str. 26). — Z warszawskiego „beau monde”: PUŁKOWNIKOWA MARIE-CLAUDE ARBITRE. Wysłannik „Asa” rozmawia z małżonką francuskiego attaché lotniczego, która z równą łatwością prowadzi swój samochód, jak i samolot (Str. 29). — Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Dział gospodarstwa domowego. — Kosmetyka. — Moda kobieca. — Humor i rozrywki umysłowe. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radiowy.



ARCYDZIEŁA SZTUKI: MODLITEWNIKI

W zbiorach ksiąg o treści religijnej, modlitewniki rzucają się w oczy swoim przepychem i bogactwem, będąc wyrazem tej czy innej minionej już epoki. — Zrazu skromne i niewyszukane, z czasem stawały się barwne i ozdobne. Ujęte w oprawę skórzaną z licznymi zdobami wyciskaniem — bądź nabijaną małymi centkami. Obok skóry na oprawę modlitewników używano też i aksamitu, a wtedy ozdoby wyciskane ustępowały miejsca kompozycjom naszywanym. Zamykane były za-

zwyczaj klamrami misternie z srebra czy złota cyzelowanymi w ornamenty o motywach zaczerpniętych ze świata roślinnego, czy zwierzęcego. Często nawet szlachetnymi kamieniami zdobne, były chlubahą kunsztu złotniczego. Uzupełnieniem oprawy były ozdoby w tymże samym co klamry utrzymywane tonie, a umieszczano je w rogach, bądź w grzbiecie modlitewników. Brzegi kart złożone lub malowane. Niekiedy w prostej i niewyszukanej oprawie, jakżeż często kryje się bogactwo szaty wewnętrznej, np. modlitewnik Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana koronnego. Oprawa nosi ślady po zerwanych klamrach, które niegdyś zdobiły ten modlitewnik. Dziś jest on własnością Archiwum Ordynacji Zamoyskich w Warszawie.

Różne w swej formie zewnętrznej, prawie wszystkie modlitewniki były jednakowo redagowane. Karty pergaminowe: na pierwszej umieszczano zazwyczaj herb właściciela, o ile tenże już wcześniej nie został wyciśnięty na oprawie pomiędzy innymi zdobami. Jeżeli modlitewnik był darem, to na pierwszych jego kartach spotkać można jeszcze obszerną dedykację. Następne karty zawierały kalendarz najważniejszych świąt. Modlitwy wypisane starannie na kartach polinowanych, przeważnie w języku łacińskim, który też był powszechnie używany przez szlachtę. Ułożone odpowiednio do świąt czy pór dnia, od którego często pochodził tytuł modlitewnika. Marginesy zaznaczano kolorowymi równoległymi liniami, albo też ozdabiano ornamentami ułożonymi osiowo o motywach roślinnych, lub bardzo pięknie wykonanymi postaciami zwierząt. Liczne karty, oddzielające poszczególne mo-

Wspaniała oprawa modlitewnika z wyciskaniem, złotymi herbami Habsburgów i Burbonów. Modlitewnik wydany w Sienie w 1777 r. pochodzi z Domu Gotyckiego w Puławach, obecnie w Muzeum XX. Czarotoryskich.

dlitwy iluminowano scenami biblijnymi, bądź też alegoriami. Te właśnie iluminacje stanowią dziś o wartości modlitewników. A i pierwsze litery modlitw zastępowano inicjałami bądź mniejszymi iluminacjami. Przy końcu modlitewnika zostawiano zazwyczaj kilka kart niezapisanych, przeznaczonych do użytku właściciela modlitewnika, który tu czynił zapiski rodzinne, albo notował najważniejsze wydarzenia z życia publicznego. Czasem spotkać można na tychże kartkach całe nawet wykresy genealogiczne. Dziś te właśnie karty są niemniej

Poniżej: „Heures a l'usage de Rome“, wydany w Paryżu w 1500 r., na pergaminie. Inicjały kolorowane ręcznie i złożone, drzeworyt przedstawia ucieczkę do Egiptu. — Muzeum XX. Czarotoryskich.



skrzętnie badane przez świat naukowy, zwłaszcza, że niekiedy zawierają materiał pierwszorzędny dla genealogji, skądinąd trudnej czasem do ustalenia.

Różną też była wielkość modlitewników. — Obok dużych, spotkać można i ich minjatury. Wspomnieć choćby modlitewnik nieznanego bliżej właściciela z XV-go wieku o rozmiarach 3,5x4 cm, przechowywany w zbiorach Arch. Ordyn. Zamoyskich w Warszawie.

Nie zawsze też modlitewniki służyły do celów modlitwy. Jakżeż często były one ozdobą w rączkach płci pięknej, udającej się do kościoła. Doświadczone do toalety, były raczej jej uzupełnieniem. Stąd też pochodzi bogactwo szaty zewnętrznej modlitewników, używanych przez pleć piękną. Dziś jeszcze przyglądając się portretom kobiecym minionych wieków, spotkać możemy w ich dłoniach misternie oprawny i w złote klamry zamykany modlitewnik.

Niewątpliwie najstarszym, powierzchnie zbadanym modlitewnikiem, jest książka do modlitwy Mieszka II, którą podarowała mu około 1028 r. Matylda, księżna szwedzka. Pisany w języku łacińskim z wizerunkami Matyldy i Mieszka, znajdował się w zbiorach katolickiego kościoła w Berlinie.

Niezwykle ciekawym i jedynym tego rodzaju pomnikiem jest modlitewnik Władysława IV (Warnieńczyka). Jest to właściwie księga zaklęć czyli modłów, aby Bóg pozwolił młodemu królowi zobaczyć w kryształcie to, co go najwięcej obchodzi. Powstał zapewne w Krakowie, po koronacji młodego króla, około 1435-36 r. Mieści w sobie ślady kabaly, która w owym czasie, razem z astrologią zaczęła się coraz bardziej rozpowszechniać.

Osobliwe koleje przechodził modlitewnik króla Zygmunta I. Po jego śmierci dostał się on w posiadanie królowej Bony, która zabrała go z sobą do Włoch. Stąd wrócił on z powrotem do Polski, na skutek skarg i narzekania Anny Jagiellonki na zatrzymanie rzeczy oddziedziczonych po matce. Anna darowała ten modlitewnik Zygmuntowi III. Wraz z innymi klejnotami koronnymi dostał się następnie modlitewnik w prywatne posiadanie Sobieskich. W roku



Strona modlitewnika średniowiecznego, ozdobiona wspaniałymi rącznymi rysunkami: inicjał C przedstawia koronację Matki Boskiej, na marginesie zaś widzimy humorystycznie ujętą ucztę żaby ze ślimakiem, kretom i myszą. — Ze zbiorów XX. Czarotoryskich.

1838 zakupiony został w Frascati od sukcesorów kardynała York. Wraz z księżną Marią Klementyną Sobieską przeszedł do rodziny Stuartów. Książę Grzegorz de Berardi darował modlitewnik księciu Sussex, a po śmierci tegoż zakupił go British Museum w Londynie. Tutaj to znalazł ten modlitewnik Aleksander hr. Przeczdzicki. Dopiero prof. U. J. Kallenbach zajął się naukowym jego badaniem, nadsyłając liczne fotografie do Komisji Historji Sztuki Polskiej Akademji Umiejętności.

Modlitewnik ten jest cackiem iluminatorskiej sztuki. Niewielkich rozmiarów, wykonany na wzór francuskich, flamandzkich i włoskich modlitewników. W tych to krajach kwitnęło malarstwo miniaturowe, dochodząc do kunsztu. A pamiętać należy, że iluminacje modlitewników były silnie związane z tą gałęzią malarstwa. Zjawiły się już w II połowie XIV wieku, a w następnym stały się powszechne w użyciu.

Poniżej: Modlitewnik holenderski z pierwszej połowy XV wieku. Iluminacja całostronna przedstawia pokłon Trzech Króli. Muzeum XX. Czarotoryskich.



Modlitewnik ten jest dziełem Stanisława Krakowianina, który darował go Zygmuntowi I z wyrazami hołdu, jako pogromcy Moskwy, zaznaczając w dedykacji, że czyni bezinteresownie i nie chce być znanym królowi. Jego dziełem są iluminacje modlitewnika królowej Bony, znajdującego się gdzieś w Anglii. Trzecim modlitewnikiem, który wyszedł z jego pracowni jest modlitewnik Krzysztofa Szydłowieckiego, który podobnie, jak i król był miłośnikiem sztuki i lubował się w artystycznych dziełach. Kiedy Stanisław Krakowianin wykonał modlitewniki dla króla i królowej, Szydłowiecki polecił mu wykonanie modlitewnika dla siebie. U schyłku swej działalności iluminatorskiej ozdobił minjaturami modlitewnik kanclerza Jana Chońskiego.

Garść szczegółów o działalności iluminatorskiej wspomnianego Stanisława Krakowianina, autora tych modlitewników, znajdujemy u Kopery. Artysta ten jest minjaturzystą dekoratorem. Oddziały na niego minjatury flamandzkie, których wpływ w wysokim stopniu zaznaczył się także w inicjałach. — Wykształcił się on zapewne w krakowskiej pracowni przy Katedrze. Od Stwosza i z flamandzkiej sztuki wziął zamiłowanie do charakterystyki postaci, uwydatniającej się przede wszystkim w twarzy.

Wspomnieć wypada, że minjatury były ulubioną dekoracją rękopisów, przeznaczonych nietylko do kościelnego, ale i świeckiego użytku. To też pociągnęło za sobą powstanie kilku pracowni iluminatorskich w Krakowie, przeważnie klasztornych. Minjatury wykonane w tych pracowniach swym poziomem artystycznym dorównywały pracom Stanisława Krakowianina.

Wynalazek druku przyczynił się do rozpowszechnienia modlitewników drukowanych. Ale i te niewiele ustępują modlitewnikom rękopiśmiennym. Pierwsze ich okazy drukowane oczywiście na pergaminie, pojawiły się w Paryżu w II-giej połowie XV w. Wydawcami ich byli Antoine Verard i Simon Vestra. Z nazwiskiem tego ostatniego wydawcy związany był cały szereg późniejszych wydań. Pokup na te „livres d'heures" w łacińskim drukowanym języku, był nadzwyczajny. Między rokiem 1487 a 1497 Vestre wypuścił w świat 60 wydań jedno po drugim. Ale nie miały one jeszcze rycin. Po większej części zostawiano miejsca puste, dla wypełnienia minjaturami. Dopiero wydanie z roku 1498 po raz pierwszy ozdobiło rycinami. Były to zrazu konturowe międzyryty przeznaczone do kolorowania.

W roku 1518 Vestre umarł, a miejsce jego zajął długoletni jego pracownik Thielman Kerver. Ten już poprzednio drukował na własną rękę podobne modlitewniki. Jednak

zarzucił druk gotycki, zastępując go w swych wydaniach czcionkami łacińskimi. Z tego czasu pochodzi modlitewnik Samuela ks. Sanguszkii. Jest to druk francuski z pierwszych lat XVI wieku na pięknym gładkim i cienkim pergaminie, rycinami pełnymi charakteru i wdzięku. Oprawny w skórę ze skówkami, o wszystkich kartach dobrze zachowanych. Na pierwszej karcie umieszczony jest wielki znak wydawcy, dalej spis rzezy, almanachy święt ruchomych, aż do roku 1520, kalendarz i właściwy modlitewnik. Wszystkie stronicie tego modlitewnika są obramowane w podobny sposób, jak stronica pierwsza. Ramy w motywach swych pełne różnorodności, podzielone, co się najczęściej zdarza, na małe kwadratowe pola, stanowiące skończone obrazki, w których widzimy 7 dni stworzenia, sybille, sceny z życia Marji, Chrystusa, postaci biblijne,



Powyżej i poniżej: Dwa średniowieczne modlitewniki, zdobne w kolorowe rysunki i liczne inicjały, ze zbioru XX. Czarotoryskich.



to znowu wypełnione ornamentami roślinnymi. Oprócz tego modlitewnik posiada cały szereg inicjałów i rycin. Ryciny te są wykonane na miedzi i mają tła punktowane.

Niekiedy międzyryty zastępowano drzeworytami. Do takich modlitewników, ozdobionych drzeworytami na pergaminie należy modlitewnik z ostatnich lat XV wieku, wydrukowany w Paryżu, obecnie muzeum ks. Czarotoryskich.

Pięknie iluminowanym modlitewnikiem, drukowanym na pergaminie, jest modlitewnik Jana Zamoyskiego „Horae secundum usum Turonensem", wydrukowany w Paryżu w 1520 roku, jak głosi napis na karcie tytułowej.

Wiele jednak modlitewników dotąd jeszcze nieznanych kryje się po bibliotekach i archiwach, czekając chyba tylko przypadku, który pozwoli im zająć odpowiednie miejsce w zbiorach przeszłości.

Mgr. Bronisław Cetera.

Głowa małego ptaka - żywiciela, w którego gnieździe znalazła się młoda kukulka, prawie całkowicie znika w jej dziobie.



ptaki bez gniazda

Kukulka jest jednym z niewielu ptaków, które znalazły swój wyraz w legendzie czy zabobonnych opowiadaniach lub stały się tematem pieśni i poezji. Niektórzy uważają kukulkę za zmienionego krogulca, inni posądzają tego, niewinnego zresztą, ptaka o to, że jest złym duchem, który przyjął na siebie postać ptaka. Naogół uważają kukulkę za ptaka złego, który nie wie, co to miłość macierzyńska i troska o potomstwo. Kukulka bowiem jest jedynym ptakiem żyjącym u nas, który nie buduje gniazda i nie wychowuje potomstwa, lecz podrzuca swe jajka innym ptakom, oddając w ten sposób niejako „w obce ręce” swe dzieci.

Przybranymi rodzicami kukulcząt mogą być różne ptaki śpiewające, najczęściej rudziki, muchołówki, pliszki, pokrzewki, dzierzby, drozdy, a nawet najmniejszy z pośród naszych ptaków strzyżyk wole oczko. Jajka kukulki w porównaniu z jej wielkością są bardzo nie duże i waga ich stanowi zaledwie 1/33 część wagi ciała dorosłego ptaka, a więc wynosi tylko 3 gramy, mniej zatem, aniżeli jajko wróbla, który sam jest od kukulki znacznie mniejszy.

Barwa jaj kukulczych może być różnorodna: biała, żółtawa, niebiesko-zielonawa i, co najciekawsze, zależnie od barwy i rysunku jajka te są składane przez kukulkę w gniazda odpowiednich ptaków, składających podobnie zabarwione jajka. Naturalnie, że kukulka nie znosi jakby na zamówienie jajek odpowiednio zabarwionych i dostosowanych do jajek składanych przez przysłego opiekuna kukulcząt, lecz najprawdopodobniej, o ile uda się jej złożyć jajko odpowiedniej barwy w gnieździe ptaka, którego jajka są do kukulczych zbliżone, jajka te mają większe szanse rozwoju, nie zostaną przez przybranych rodziców, jako nie różniące się od ich własnych, ani wyrzucone ani też opuszczone.

Widok ptaków budujących gniazda powoduje kukulkę do zamienienia jajka, które umieszcza u tych gospodarzy, którzy wydają się jej najodpowiedniejsi. Wyczekuje stosownej chwili i jak złodziej zakrada się do cudzego gniazda. O ile gniazda są dla niej dostępne, składa w nie szybko jajko, gdy zaś nie może dostać się do gniazda, wtenczas składa jajko na ziemi i ujmując je następne gniazda. Często przy podrzucaniu jaj, sam-

czyk pomaga swej małżonce. Dzięki podobieństwu do drapieżnego krogulca, zwraca on na siebie uwagę prawowitych właścicieli gniazda, którzy w obawie o swą drogotną własność starają się go odpędzić. Samiczka tymczasem wykorzystuje chwile nieuwagi i znosi spokojnie jajko.

W ten sposób pozbywa się kukulka kłopotu, związanego z wysiadywaniem jaj i zrzuca z siebie ciężar obowiązków macierzyńskich.

Zanim kukulkę zdobędzie sobie niepodzielnie miłość i nieustającą opiekę swych przybranych rodziców, staje się sprawcą krwawego dramatu w ich gnieździe. Ponieważ kukulkę wylega się szybciej, aniżeli pisklęta, będące prawowitymi dziećmi jego opiekunów, przeto, gdy tamte wydostają się z jajek, podrutek jest już duży i silny, ma również doskonale rozwinięte mięśnie, mimo, że jest jeszcze nagi i niewidomy. Rozpycha się też egoistycznie w gnieździe. Inne jajka zawadzają mu i przy dotykaniu sprawiają ból, gdyż kukulkę przez kilka dni po wylęgnięciu jest bardzo wrażliwe. To też usiłuje się ono pozbyć przyczyny swej dolegliwości. Podsuwa się wytrwale pod jajko i stara się pod nie wsunąć, tak, aby jajko wydostało się na jego grzbiet. Zaiste, dziwna to gimnastyka i żonglerka! Gdy już zdola przytrzymać jajko swymi nagimi i małymi, lecz dość silnymi skrzydłami, posuwa się tyłem ku krawędzi gniazda, opierając się silnie głową o jego dno, aby sprostać trudnemu zadaniu utrzymania znacznego ciężaru na grzbiecie. Gdy już znajdzie się na krawędzi gniazda, przechyla się w tył i jajko wypada, rozbijając się. W ten sposób, powtarzając tę żmudną czynność nieraz i kilka razy, pozbywa się kukulczę zawadzających mu jajek.

Kukulka pozostaje wreszcie sama w gnieździe wraz z przybranymi rodzicami, którzy darzą ją uczuciem, jakby własne swe dziecko. Nawet nie czują żalu do ptaka, który pozabijał i powyrzucał z gniazda prawowite ich potomstwo, nie zdając sobie sprawy z krwawego czynu podrutka. Wychowują troskliwie młode kukulczę, które rośnie szybko i potrzebuje bardzo wiele pokarmu. Znoszą mu je przybrani rodzice bezustannie, bo żarłok z kukulki nieładą. Ustawicznie roztwiera dziób i naprasza się o nowy kasek. Jest stale głodne. Ojciec i matka, jak mogą, zaspakajają głód swego przybranego

dziecka. Zdarza się niekiedy, że matka, nie znajdując innego oparcia i sposobu podania pokarmu nienasyconemu żarłokowi, siada na jego głowie i wrzuca pokarm w otwarty szeroko, jego wielki dziób. Odnosi się wtenczas wrażenie, jakgdyby kukulka usiłowała polknąć swą niestrudzoną karmicielkę, znaczenie od niego mniejszą.

Kukulczę zachowuje się bardzo spokojnie, a całem swem ciałem wypełnia gniazdko. Jakgdyby rozumiało, że niespokojne jego ruchy mogłyby nadwyrężyć niewielkie gniazdko i spowodować katastrofę, w której łatwo mogłoby utracić życie. Gdy już kukulczę jest tak duże, że nie może się pomieścić w gniazdku, opuszcza je i siada na sąsiedniej gałęzi, dokąd przylatują rodzice i karmią je w dalszym ciągu. Dopiero, gdy

stanie się na tyle silne i samodzielne, że może rozpocząć latanie, bez pożegnania i żalu, opuszcza swych przybranych rodziców i gniazdo, w którym się wychowało, koszt życia innych piskląt, i znika gdzieś w gęstwinie koron leśnych.

Różnie starano się wytłumaczyć ten dziwny zwyczaj kukulki podkładania swych jajek do cudzych gniazd. Tłumaczono to zjawisko tem, że kukulka nie składa swych jaj od razu, lecz w pewnym odstępie czasu, co utrudnia wychowanie piskląt, a nawet je uniemożliwia. Młodsze bowiem pisklęta byłyby stale pokrzywdzone przez starsze. Pogład ten jednak o tyle nie wytrzymuje krytyki, że niektóre ptaki z tej samej rodziny kukulek, żyjące w Ameryce, mimo, że podobnie jak nasza kukulka niosą się powoli, jednak zakładają swe własne gniazda.

Starano się ów dziwny zwyczaj kukulki tłumaczyć także i w ten sposób, że kukulka była ongiś nieodłączną towarzyszką stad dzikich zwierząt, które żyły na stepach i w lasach Europy i że żywiła się ona pasożytami, żyjącymi obficie na ich skórce. W ustawicznej wędrówce za owymi zwierzętami, nie mogła pozwolić sobie niejako na stałe zamieszkanie i na założenie własnego gniazda. Musiała prowadzić tułaczę życie, lecąc w ślad za „dostawcami” pożywienia. Czasy się jednak zmieniły, zniknęły owe wielkie ilości zwierząt, które dostarczały ptakom pokarmu, kukulka zmieniła rodzaj swego pożywienia, ale nie rozwinęła się u niej tendencja do budowy gniazda.

Dzisiaj jeszcze żyją takie ptaki jak amerykańskie kleszczojady, które żywią się wyłącznie pohlami i kleszczami, będącymi pasożytami skóry koni i bydła. Niektóre z nich zakładają jednak nawet wspólne gniazda, dla większej ilości samic, które razem wysiadują jajka i wychowują młode wspólnymi siłami. W ten sam sposób jak nasza kukulka postępuje amerykański ptak *Melothrus*, który żywi się owadami, paszytującami na skórce zwierząt ssących.

W każdym razie to niewyjaśnione paszytnictwo lęgowe kukulki, to podkładanie przez nią swych jaj do cudzych gniazd, jest cechą wtórną, która powstała na drodze ewolucji, dzisiaj jeszcze nieskończona.

Dr Z. M.



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Blok znaczków, emitowany w Pradze podczas ostatniej wystawy filatelistycznej.

W bieżącym numerze reproduujemy rekordową ilość znaczków, gdyż nie było dotąd wypadku, aby w ciągu jednego tygodnia ukazało się tyle nowości naraz. Musimy zaś dodać, że zatrzymaliśmy jeszcze w tece całą serję rumuńską, blok estoński czy też francuskie znaczki regularne i okolicznościowe.

NIEMIROW I CZY SŁAWY POSKRZEPOWE

Przy tej ilości musimy też ograniczyć się do podania wymiarów i wielkości egzemplarzy, a zaznaczymy tylko, że wyłącznie Francja i Szwecja nie są wydane li tylko dla celów filatelistycznych, serja Luksemburgu, chociaż niezmiernie oryginalna, jest jednak mimo wspaniałego wykonania przesadna: formaty 27×33 mm dla 35+10 c zielony, 70+10 c szary, 1.25+25 c karminowy, 35×56 mm dla 1.75+50 c niebiesko-szary, i 43×46 mm (!) dla 3+2 f brązowo-

lila i 5+5 i fioletowy. Będzie to zapewne w przyszłości bardzo cenna serja, bo mało kto zdecyduje się płacić takie stawki na cele dobroczynne. Wydano te olbrzymie znaczki, celem uczczenia pamięci apostoła wschodniej Frankonii św. Willibrorda, który zmarł w r. 739.

Malarz Grigorescu doczekał się reprodukcji swych dzieł na znaczkach o formacie 42×26 wzgl. 26×42 mm. Stawiamy pytanie pod adresem M. P. i T., czy Matejko nie zasłużył sobie na to stokroć razy więcej?!

80 lat dożył król-tenisista Gustaw Szwedzki: dla przeciwników sportu będzie on zawsze dowodem, że sport co najmniej nie skraca wieku. Państwo uczciło zupełnie

stuszenie tą rocznicę, ale znaczek nie ma bynajmniej wyglądu jubileuszowego.

Czeska serja 50 h, 1 i 2 K, format 28×35 mm., belgijska obejmuje 5 wartości — (39×27 mm) niższych i jedną 5+5 f o formacie pionowym, wreszcie Finlandja przypomniła sobie także, że obywatele jej wraz z Szwedami przed 3-ma wiekami kolonizowali stan Delaware. Piękny brązowy znaczek ma format 25×35 mm.

Oczywiście blok uzupełnić musi plon tygodnia i jak zwykle jest on pamiętką po wystawie znaczków. Musimy stwierdzić obiektywnie, że „Praga 1938” przewyższała jednak zdecydowanie naszą wystawę. Format bloku 149×105 mm. W. H.



Najnowsze znaczki pocztowe. U góry: Szwedzki znaczek jubileuszowy, w drugim rzędzie serja znaczków rumuńskich ku czci Mikołaja Grigorescu, w trzecim rzędzie i w środku u dołu znaczki Wielkiego Księstwa Luksemburgu, wydane w 1200-ną rocznicę śmierci św. Willibrorda, u dołu na lewo znaczek belgijski, obok znaczek okolicznościowy francuski, drugi od prawej znaczek czeski ze serji, wydanej w czasie zlotu Sokolów, oraz znaczki fińdzki.

WZMACNIAM SKÓRĘ I UŁATWIAM OPALENIE CERY!



Krem Nivea od zł 0,40 do 2,40
Olejek Nivea od zł 1, — do 3,50

PEBECO Spółka Akcyjna w Poznaniu

Z całym zaufaniem można używać kremu, olejku lub olejku orzechowego, jeżeli za ich jakość gwarantuje napis „NIVEA”. Jedynie NIVEA zawiera EUCERYT, środek wzmacniający skórę. W tym tkwi sekret pięknej sportowo ogorzalej cery. NIVEA zmniejsza też niebezpieczeństwo oparzenia słonecznego. — Wzmocniona NIVEA skóra wpływa dodatnio na zdrowie całego organizmu. Będziemy odporniejsi na nagłą zmianę pogody i wynikające stąd często przeziębienia.

Krem NIVEA znajduje się w handlu tylko w oryginalnych opakowaniach. Dobra i znana preparaty chętnie są naśladowane — przestrzegamy zatem przed nabywaniem kremu, sprzedawanego na wagę pod nazwą NIVEA.

W

Paryżu Ludwika XIV, w Paryżu siedemnastowiecznym mamy wieczorem do dyspozycji już trzy teatry stałe (tak!). Czy warto je zobaczyć? Nom d'un chien! Przecież to cuda! Podobno nawet role kobiece, zamiast mężczyzn z wypchanymi biustami, grają kobiety. Niebysza!

Niedługo zastanawiamy się nad wyborem fraka, owijamy szyję świeżym żabotem, zdejmujemy z kołka ostatnie dzieło perukarza, którego to majstersztyku loki rozsypują się nam aż na barki. Kilka ludwików w kieszeni. Nie od rzeczy będzie spróbować czy spada lekko wychodzi z pochwy, bo z teatru wraca się w nocy, a w ciemnych uliczkach niewiadomo, kogo się spotka. — W najlepszym razie wierzycieli, a przecież nawet dobry Król Filip Piękny niegdyś przed nimi uciekał Rue du Temple..., ale to już inna historia jak powie o tem za lat 200 i kilkadziesiąt niejaki Rudyard Kipling.



Markiz to typowy gość teatru XVII. w., zajmujący fotele — aż na scenie....

Otóż i szczęśliwie mineliśmy kilka katastrof, grozących naszym perukom (na okrzyk „Gardez l'eau!” trzeba prędko i bez namysłu uciekać, bo ktoś wylewa właśnie z góry przez okno na ulicę kubek pomoy), omal nie rozgniotła nas karetą Księcia de Guise, cwałem pędząca do Wersalu, złożyliśmy opłatę za prawo przejścia przez Pont Royal na Sekwanie, wywinęliśmy się z rąk garncarza z Owerui, który zachęcał nas na tymże moście



Teatry z XVII w. niewiele się różniły od zwykłych sal.

PANOWIE! ZACZYNAMY!

TEKST I RYSUNKI: ZYGMUNT HAUPT

MOTTO: „Przedśionki teatru to targowiska, gdzie obdarzeni talentem zawiązują intrygi... (J. Casanova de Seingalt „Pamiętniki“)

do kupna jakichś skorup, uniknęliśmy wróżbity, który siedział na przeciw niego i w dzielnicy St. Denis dobnęliśmy jeszcze bardzo wcześnie do teatru.

Jest już parę osób i sakramentalny „moucheur de chandelles“ właśnie opuścił główny żyrandol i zapala płaczące łojowymi łzami świeczki. Wszyscy gapią się na tę czynność i z nudów rzucają pod jego adresem docinki. Obdarty czelczyzna znosi je ze stoicyzmem.

Pod względem bezpieczeństwa pożarowego jest to straszne oświetlenie i mam wątpliwości, czy nie było w Paryżu wtedy więcej stałych teatrów, nic o tem jednak nie wiemy, gdyż z pożaru nie uszedł zapewne ani świadek.

W łozach niewiele wzniesionych nad parter ukazują się damy. Sala się zapełnia. Zażywnie mieszcuchy z Marais, Faubourg St. Honoré, a nawet z Faubourg St. Antoine zasiadają z rodzinami, nierzadko przynosząc ze sobą w koszu wino i wiktualie i posilają się beceremonjalnie. Muszkieterzy Jego Królewskiej Mości prezentują zabójcze wasy i pendenty rapierów. Ściśnięte gorsetami mieszczyki posyłają im czułe spojrzenia. Bardziej rzeczowe spojrzenia kilku rzeźmieszków takują możliwości terenu. Gwar rośnie.

Zjawienie się markizów na scenie zwiastuje, że przedstawienie niedługo się zacznie. „Les marquis au théâtre“ to charakterystyczne dla tych czasów. Ale nie mogą oni siedzieć z pospółstwem na sali. Dla nich są specjalne krzesła aż na scenie, gdzie w perukach, koronkach, falbankach, wstążkach, w wylwornych pozach, patrząc z góry na

łum, sami jakgdyby grają. Gra toczy się tuż przy nich. Nierzadko kapryśny paniczek laską korygował grę aktorską ku ucieście widowni.

To, co zobaczymy na scenie ma już swój bogaty podkład. Całe Wieki Średnie z ich misteryjami, które do połowy XVI wieku zaspakajały ludzki głód uludy, są gruntem, na którym wybujała nowa sztuka sceniczna. Jeżeli jednak teatr misteryjów, jakie oglądano z racji B. Narodzenia, Zapustów, Wielkanocy, w cieniu św. Sulpicjusza lub Notre-Dame były widowiskiem przede wszystkim dla oczu, to teatr XVII wieku, to suma wrażeń słuchowych. To gra słów, dowcip, odtworzenie charakteru psychicznego zykaturowanego aż do psychopatologii postaci takich, jak Pantalón, Sganerel, Skapen, Turlupin, kapitan Fracasse, Poliszynel, Gros Guillhome, Arlekin, Pierrot, Kolombina. Komedja francuska bezimienna, mająca swój początek w ludowych grach, starofrancuskich „Fables“, włoskiej komedji dell'arte, operze — buffo, hi-



A oto postać doktora, z której ludzie baroku chętnie drwili.

szpańskich sztukach intrygi, swą improwizowaną swadą aktorów ma równy wpływ na Molière, jak Terencjusz i Plaut.

Do jakiego stopnia słowo odgrywało rolę w tych komedjach świadczy fakt, że w początkach XVII w. aktorzy prawie że recytowali tylko swe role, bez posługiwania się gestem czy mimiką.

A cóż mówić dopiero o prymitywie dekoracji i kostiumów! Jeszcze w „Sierocie Chińskim“ dalszy ciąg na str. 31-ej.

NIEBO SIĘ ZACHMURZA...

N O W E L A

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

Jak daleko sięgnąć wzrokiem — lazur... Na horyzoncie cienkie pasmo szarego łądu, dzielącego morze od nieba.

Kilka białych żagli na morzu unosi się w dali. Pobłyskują słońcem, lśnią białością. Na plaży gwaro; w miękkim piasku tkwią jak wielkie grzyby domki z płótna, leżaki, jakieś meble koszykowe. Krzyki dzieci, śmiechy dorosłych i nawoływania. Nad wszystkim ciąży jak jakaś zasłona upał: powietrze zdawało się nie poruszać, tworząc gęstą, nie przepuszczalną warstwę.

Nic tak nie rozleniwia i nic tak bardzo nie pozwala zażyć spokoju jak upał. Dopiero w tym słońcu, na piasku, w bezruchu, człowiek zdaje sobie sprawę, co to jest prawdziwy wypoczynek.

Olśniewało to i cieszyło Bogdana. Przypatrywał się otoczeniu zdziwiony, jakby ujrzał coś nadzwyczajnego. Nawet piasek przybrzeżny zdawał się nabierać nieznanych mu kolorów, mienić się, sławał się szary, to znów brązowy, zależnie od oświetlenia. Tyle było przecież nowych rzeczy na tej plaży dla Bogdana! Był pierwszy raz w eleganckiej miejscowości nadmorskiej we Włoszech, pierwszy raz zetknął się z tym wielkim światem, którego głównym zajęciem było wymyślanie nowych, nieznanych mu jeszcze rozrywek. Gdy oczy odwracał w bok od skał, które zdaleka szarzały, spotykał się z obrazem pięknej, młodej kobiety, siedzącej obok niego. Była jego żoną.

To poczuć, że jest z nim jego żona, że pobyt w Riccione jest jednym z punktów programu podróży poślubnej, ta pewność, że żona patrzy na niego rozkochanymi oczami i stara się wyczytać w wyrazie twarzy, jakie ma życzenia, a nadewszystko to, że piękna ta kobieta otrzymała pół miliona złotych posagu, wszystko to razem tworzyło jakiś dziwny, jedyny w swoim rodzaju nastrój, z którym dotychczas nigdy się nie spotkał w swym życiu.

Bo też te ostatnie cztery miesiące przeszły naprawdę jak sen.

Z lubością począł wspominać różne epizody, które koniec końców zaprowadziły go na tę plażę. Tak jeszcze niedawno śleczął w swem ciemnym biurze, załatwiał nudne, beznadziejne sprawy. Tak niedawno jeszcze wstydził się pokazać w lepszym lokalu, by nie spotkać się z krytycznym spojrzeniem obecnych, wymierzonym na jego wyszarzany i źle skrojony garnitur, i tak niedawno temu drżał przed dyrektorem Zawieją, starszym, gderliwym człowiekiem, który często swój zły humor wyładowywał na Bogdanie. Przypomniły mu się rozmowy z panną Klarą, sekretarką, która zaczytując się w tanich, sensacyjnych powieściach, pozowała na „istotę wyższą”. Do przeszłości należały też tanie krawatki, wykoszlawione buty, te wszystkie postacie, snujące się jak cienie po biurze. Do przeszłości, która się nie wróci, bo Olga kochała go prawdziwie, a Olga to przecie jego dobrobyt i majątek.

— Piękne jest życie, psiakrew! — pomyślał nieomal głośno. Zatrzymał się w porę: Olga nie lubiła takich dosadnych wyrażań.

Dziwna kobieta: siedziała oto koło niego na werandzie modnego hotelu, spoglądając na plażę, na kąpiących się i wygrzewających w piasku kuracjuszy, zadowolona, szczęśliwa. Spoglądała na niego w zachwycie: Bogdan sam od niedawna dopiero otrzaskał się z tym słaniem rzeczy, tak bardzo go on dziwił z początku. Dziwne są kobiety — ale nie ma o czym mówić — udało się! Chociaż nie,

jego szczęście nie było wygraną na loterii, nie było jakimś wydarzeniem nadnaturalnym: zawsze był pewien, że dojdzie do celu, że wypłynie z tej miernoty i stanie się kimś. A jak — to już zależało od okoliczności. Jak — tego nie wiedział, ale wierzył w swą gwiazdę... i umiał czekać. O, tak, czekać umiał. Jak pies wpatrzony w smakowitą kość, jak skazaniec wyczekujący na ostatni dzień swej kaźni. Gdy inni, wyszedłszy z biura, myśleli o rozrywkach i oddawali się lekko-myślnie marzeniom, on, zawsze pod bronią, zawsze gotów walczyć o lepsze jutro, układał sobie plan postępowania, który miał go zaprowadzić do upragnionego bogactwa.

— Patrz. Bobuś, chmura nadciąga! — rzekła pani Olga. Czy czasem nie zacznie padać? Tak jest duszno!

Spojrzał po niebie.

— Chmury ołowiane! — skonstatował. Deszczu nieźleby zrobił — uśmiechnął się przymilnie w jej stronę.

Zwykle żywy i rzeczowy w swych powiedzeniach, tym razem mówił jakimś rozwlekłym, nonszalanckim tonem. Od czasu jak siedział na słońcu, jak przeżywał swój sukces, jak porównywał to, co było wczoraj i co jest dziś, stał się pewny siebie, nieomal kapryśny.

Zresztą Olga nie była wymagająca w rozmowie. Sama mówiła mało, wyrażając swe uczucia, których skala była dosyć ograniczona i polegała na różnych odcieniach miłości i przywiązania, bardziej spojrzeniem swych pięknych oczu, niż słowami.

Lola ma jednak piękne oczy i cała jest cudowna! Mimo, iż była jego żoną, jeszcze teraz, po czterech miesiącach małżeństwa miał uczucie, że jest jego przełożoną, że jest czemś wyższym od niego, lepszym. Stąd, chcąc wyrównać tę różnicę, nadrabiał miną, przybierał czasem ton protekcyjny, taki, jakim się posługują starsi wobec dzieci. Podobne uczucie czci i uwielbienia odczuwał w swem biurze, gdy liczył pieniądze, bezduszne banknoty, na których widniała kolorowa cyfra. Ale powoli wyzwał się z tego uczucia, był coraz bardziej pewnym siebie.

To pocucie pewnej niższości przyprawiało go o zły humor. Co za głupstwo! Wiedział, że jest jednostką wybitną, zbierał owoce swej taktyki, wiedział jak trudno mu było wyjść z tego koła biedy i kłopotów, w którym się znajdował, więc cenił siebie, a mimo to ta piękna, bogata, wypieszczona przez ojca kobieta, która z obojętnością wydawała setki i tysiące, nie znając ich wartości, mimo wszystko jeszcze dziś budziła w nim pewne pocucie niższości. Przypomniał sobie ten wieczór u dyrektora Rodeckiego, kiedy za sprawą swego przyjaciela, bywającego w domu ojca Oli, zjawił się po raz pierwszy na wytwornym przyjęciu... w pożyczonym smokingu. Nie wiedząc dobrze, jaki zachować ton, jak mówić z matadorami, których znał tylko z gazet lub ze słyszenia, przyjął minę obojętną, zimną, robiąc wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, a nawet krytycznie usposobionego wobec otoczenia. I ta właśnie mina obojętności, to sztywne nieco zachowanie wzbudziło miłość w sercu Oli. Przyzwyczajona do ciągłych hołdów, nudnych i wycelowanych wybitnie w kierunku jej posagu, panna Rodecka, z natury mało spostrzegawcza i mimo wszystko naiwna, otoczyła Bogdana w swej wyobraźni jakąś aureolą wielkości, przypisując mu

zalety, których nie posiadał. Rozpamiętując te chwile, przypominały mu się tytuły sensacyjnych powieści, które kiedyś czytał: „Kaprys milionerki”, „Kobieta, która kocha” i inne.

Wyciągnął się zadowolony na swym leżaku. Z nonszalanecją wyjął papierosa ze złotej papierośnicy, prezentu Lohi. W rogu papierośnicy widniał jego monogram, splecione z inicjałami jego żony. Jak te inicjały tak i oni zawsze pozostaną razem. Z zainteresowaniem przyglądał się pięknej robocie tego jubilerskiego cacka. Takie wyroby można jednak dostać tylko w Paryżu, Wiedniu lub Londynie — myślał. Niewiele mógł wprawdzie powiedzieć o luksusowych wyrobach jubilerskich, gdyż były one dla niego zawsze nieosiągalnym zbytkiem, ale szanował je jako widomy symbol pieniądza. Pieniądz! Raz jeszcze czuł się olśniony majątkiem żony, raz jeszcze zdał sobie sprawę ze zmian, które zaszły w jego życiu. Piękna była ta papierośnica. Droga i wytworna zarazem. Jakże niepodobna do tej małej skórzanej, którą na swe imieniny otrzymał w prezencie od Kasi...

Którą dostał od Kasi... W myśli powtórzył koniec tego całego łańcucha swych myśli. Tamta, skórzana, była fabrykatem krajowym, tania, po kilku miesiącach zaczęła się niszczyć. Nosił ją, bo wtedy nie miał innej, a zresztą chciał Kasi zrobić przyjemność. Kasia! Dobra dziewczyna i biedna jak on, naówczas. Nie, biedniejsza, bo pozbawiona wszelkiej opieki, sierota. Jakaś daleka krewna odwiedzała ją od czasu do czasu. Kasia była sklepową w jakimś magazynie. Jakże się on nazywał? Aha, prawda! „Piccadilly” — skład z perfumami.

Fala pamięci przyniosła mu jej głos, zobaczył jej drobną, roześmianą, dziecienną twarzyczkę, jej całą drobną postać. Oczy były dziecięce, naiwne, młode, a usta ukarmione „na wampa”: prawdziwa dziewczyna naszych czasów. Dancing i zabawa po całodzienniej ciężkiej pracy, z kiepskim obładem, niedojedzoną kolacją, niedospaną nocą. Byłe zapomnieć, byłe się rozerwać, byłe zaznać kilku chwil miłości, byłe przekonać się, że są jeszcze dobrzy ludzie. I jak nie uważała na zdrowie! Była chora na płuca, a chodziła w zimie lekko ubrana! Ile razy gniewał się na nią! A potem, gdy dostawała ataków duszności, gdy z siną twarzą leżała w swoim pokoiku na marnem posłaniu i też pełnymi oczami rozglądała się naokoło, jakby szukając pomocy, była taka cicha, taka zrezygnowana, taka nieporadna, jak małe, chore dziecko. Kasia nie twierdziła, że go bardzo kocha, że żyć bez niego nie może. Pewnie nie była to miłość wielka, lecz uczucie słabszego, który szuka pomocnej ręki, by się na niej nie wspierać.

Był do niej bardzo przywiązany, a nieraz nawet czuł, że mógłby popełnić dla niej szaleństwo i ożenić się z nią. Nieraz też czuł się dumnym z swych dobrych uczynków, ze swej opieki, jakiej jej używał. Była mu ona potrzebna jako dowód jego szlachetnego charakteru. Ale nieraz niecierpliwił się nią: póki była zdrowa, harmonja panowała zupełna, gdy jednak przez jakąś nieostrożność zaczęła chorować, Bogdan niecierpliwił się. Widząc jej nieporadność, jej naiwność odczuwał do niej coś w rodzaju nienawiści. Żeby sobie też życie komplikować! — myślał rozzłoszczony. Głupia dziewczyna! Jakiś

nieznany pradawny instynkt wrodzony człowiekowi, opanowywał go: byłby ją zadusił, zdeptał jak wijącego się robaka, byle nie mieć z jej powodu kłopotów i zmartwień, których i w jego życiu nie brakowało. Nieznośne było to milczenie, ciche, błagalne wezwanie dziewczyny o pomoc, w tym świecie, który nie chciał jej wesprzeć i szedł nieubłagany swymi utartymi ścieżkami.

Na plażę wbiegła hurma dzieciaków, rozkrzyczanych i urządzających po piasku jakieś biegi naprzelaj. Nosili różnokolorowe stroje, a przewodził jakiś mały silnie opalony chłopak w niebieskim kostjumie kąpielowym. Starsze kręciły się na brzegu, zanurzając się w wodzie, młodsze ostrożnie maczały stopy w wodzie, badając powoli grunt. Ale wnet uznały kąpiel za mniej atrakcyjną zabawę, jak gonitwę i znów rozpoczęły swoje harce, opryskując się raz po raz wodą.

Bogdan patrzył na ten barwny i ruchliwy obraz z upodobaniem, ale bez wzruszenia, jakiego doznają nieraz prawdziwie dzieci kochający ludzi.

— Patrz, jakie kochane dzieciaki! — rzekła Lola.

Uśmiechnął się do niej. Będzie dobrą matką — pomyślał.

Dzieci! Pierwszy bodaj raz w życiu zastanawiać się zaczął nad dzieckiem. Sam tak prędko przestał nim być, że psychologia dziecka, jego zabawy, jego przeżycia były mu zupełnie obce. Ona też była dzieckiem, ta mała Kasia! I pewnego razu umówił się z nią w kawiarni. Nie przyszedł: poszedł wtedy po raz pierwszy na raut do domu Olgi. Kasia napróżno na niego czekała. Telefonowała do niego dnia następnego: zbył ją dosyć niegrzecznie, wymyślił jakieś kłamstwo na poczekaniu. A potem widywali się już coraz rzadziej. On coraz bardziej myślał o Oldze, ona zaczęła coraz silniej chorować i tracić siły, tak, że nawet utrzymanie go przy sobie, zabieganie o jego miłość, czy sympatię było dla niej zadaniem przewyższającym jej siły. A zresztą wszystko stało się dla niej obojętne: wiedziała, że tak, a nie inaczej znajomość ta musi się skończyć. Jeszcze raz go odwiedziła: była jakaś dziwna, patetyczna nieomal, mówiła jakimś wyszukany, nieco sztucznym językiem. Gdy siedział przy niej na kanapie, a ona spoczywała, paląc papierosa, zauważył jej dziwne błady, ziemisty wygląd. Ale była to obserwacja przelotna: w głowie kołowały mu myśli o jego sukcesach w domu Olgi, o jego przyszłym małżeństwie, o zmianie całej jego egzystencji. I w tej chwili, którą uważał za ostatnią spędzoną razem z Kasią, za pożegnanie raz na zawsze, wydała mu się jakąś niższą, jakąś mało znaczącą, a cała z nią znajomość jakimś epizodem bez znaczenia, który się tak prędko zapomnia, jak zeszłoroczny śnieg. Czuł się wobec niej niezmiernie wyższy, ważniejszy, mądrzejszy, a ona robiła teraz wrażenie głupiej, nudnej dziewczyny.

I epizod ten znikł też z jego życia, rozplynął się w niepamięci. Zaledwie w kilka tygodni po jego ślubie, czytając rubrykę w pismach „Zmarli w Warszawie“, znalazł wśród nich też jej nazwisko. Nic dziwnego, była lekkomyślna, nie szanowała się, chodziła na dancingi, chciała się bawić, więc musiała ponieść konsekwencje. Życie jest logiczne i nie można go naginać do swych upodobań, Trudno!

Twarz Bogdana przybrała jakiś przykry grymas.

„Poco grzebać w starych, dawno zapomnianych chwilach!“ — pomyślał.

— Co ci jest, Bobusiu? — głos Olgi brzmiał merwowo, oco jej zdradzały niepokój.

— Ach, nic, przypomniała mi się taka głupia historia!

— Coś przykrego? Co takiego? Powiedz! — zaczynała być ciekawa.

— Ach, głupstwo! Przeszło i już. Nie ma znaczenia.

— Ale powiedz, co to było? Ja muszę to wiedzieć! Przecież mąż i żona nie powinni mieć dla siebie tajemnic, prawda Bobusiu? No, powiedz!

Bogdana zaczęła opanowywać złość: też się przyczepiła do tego!

— Szkoda o tem mówić, Olu, zapewniam cię!

Przykra chwila, którą przeżył z Olgą, natrętnie jej pytania, nauczyła go, że małżeństwo jednak też ma swe słabe strony i że trzeba być nieraz dobrym dyplomata, by z nich wyjść cało i bez narażenia na szwank własnego prestiżu i równowagi sił. Tylko by tego brakowało, aby Olga dowiedziała się o jego miłostkach? A może się ona i tak dowie? Ale jakim sposobem! Nie mają żadnych znajomych, którzyby mogli coś powiedzieć. Mimo to przeświadczenie, jakiś niepokój, a raczej niepewność zaczęła go ogarniać. Trzeba się będzie mieć na ostrożności: kobiety zakochane zdolne są do zerwania dla byle jakiej błahostki. Jeszczeby mu ta głupia historia z Kasią zaszkodziła w jego karierze.

„Ach, ta dziewczyna zawsze musiała wszystko robić naopak! Zdaje się jakby i jemu chciała teraz szkodzić, chociaż już nie żyje!“ Uczucie, że są rzeczy, które raz na zawsze musi zamknąć w swej pamięci i strzec ich przed żoną, wydało mu się wręcz nieznośne. Przypomniały mu się czcionki, jakimi wydrukowana była rubryka o zgonach. Były drobne, nierówne. „Katarzyna Janiakówna, lat 25, sklepowa“. I nic więcej. Kłopsydr oczywiście nie było. Któżby się tam zajął! Na jakim mogli ją pochować cmentarzu? Kto zapłacił za pogrzeb?

— Wiesz Bobusiu, ja pójdę tymczasem na chwilę zdrzemnąć się w hotelu, a za jakąś godzinę wrócę do ciebie. A może byś ty też poszedł? — mówiła pani Olga.

— Nie, wolę tu zostać. Obserwuję właśnie tę oryginalną parę Anglików, która tam siedzi pod tym czerwonym parasolem! — odparł Bogdan, siląc się na naturalność.

Wstała, podała mu rękę, którą on ucałował z galanterją. Zgrabna jej sylwetka w białym, skromnym, ale wytwornym kostjumie znikła wkrótce w bramie hotelu „Excelsior“.

Uwaga jego na chwilę oderwana od biegu myśli znów skupiła się na wspomnieniach. Co za natrętne głupie myśli! I właśnie tu, w Riccione tem przepięknym miejscu kuracyjnym, wśród tej wytwornej publiczności, u boku pięknej i kochanej kobiety musiał go napastować! Co za ironia! Co mu się właściwie stało? Skąd ten nieznany dotąd sentymentalizm? Z chwilą, kiedy jego życie się tak zasadniczo zmieniło, kiedy stał się bogatym i szczęśliwym człowiekiem, czyż nie było to naturalne, że zapomni o Kasi, wykreślił ją z swego życia?

Upał był straszliwy. Gdyby nie to, że siedział nieruchomo, byłby nie wytrzymał na plaży. Każdy miesiąc był nabrzmiały z gorąca, każdy kawałek skóry parzył. I naraz poczuł w całym ciele jakby nowy war, nowe gorąco, które go oblało, jakby ktoś wylał na niego ogrzłą wodę. Uczucie to szło od głowy ku dołowi, rozlewało się po całym ciele, paraliżowało ręce i nogi. Czy nie mógł zainteresować się Kasią, pomóc jej, dać jej na leczenie wtedy, gdy on sam odywiał już we wszystko? Czyż nie było to jego obowiązkiem wobec bezbronnej i zdanej na łaskę i niełaskę losu stworzenia? Jakis nieznany ból ścisnął mu serce. Nieznany a straszny, przeszywający. I naraz przypomniał sobie ten sam ból z swej młodości, kiedy to go opanowywał, gdy ktoś wyrządził mu niesprawiedliwość, a on czuł się bezbronny i wiedział, że żaden płacz, czy krzyk nie zdola dotrzeć tam daleko, hen, gdzie znalazłby się sprawiedliwy sędzia, któryby ukarał winnych, a nagroził nieszczęśliwych i pokrzywdzonych. Jego przykra i ciężka

młodość w niewiele takich momentów obfitowała: chłopak zaciskał zęby, opanowywał ból i postanowił przebić się przez życie. Wkrótce też płacz przerodził się w cichy szepot nienawiści do całego świata, rozpacz zaś w determinację sprzedania dno swej młodości i wydobycia z egzystencji maksimum korzyści. I dopiero teraz, po tylu latach, odkrył w sobie to wspomnienie młodości, chłopięcych nieomal przeżyć.

Bogdan poczuł, że między tym nieszczęśliwym chłopcem, dławiącym w sobie łzy, a sprytnym, obrachowanym na każdym kroku, przemyślnym młodym człowiekiem, jakim był obecnie, leży cała przepaść, wypełniona wieloma, drobnymi i wielkimi postępkami, do których głośno nie mógłby się przyznać. I żał mu się zrobiło tego chłopca, jakim był: wiedział, że wtedy byłby on postąpił inaczej z Kasią, że zrozumiałby jej duszę, współczuł jej rzetelnie, pomógł. Wtedy widziałby w niej człowieka i biedną istotę, dziś stanowiła ona w jego życiu pozycję jedynie, jak cyfra w ogólnym bilansie handlowym. Mierząc tą miarą uczucia, Bogdan powoli stwierdzał swe ubóstwo, i przekonywał się, że budował nie na fundamentach, a na kulisach, na dekoracjach, które prędzej czy później musiały upaść. Lecz naraz zaczynał się buntować. Nie, nie na to głodował nieomal podczas swych studiów, nie na to męczył się, pracował, aby teraz ustępował jakakolwiek z swych zdobyczy. Nie odda ani jednej! Lecz zaraz potem ogarniało go zwątpienie, jakaś słabość, i widział, o ile jest uboższym, niż przedtem. Owszem, uda mu się niejedno jeszcze w życiu, zdobędzie coraz to wyższe szczeble powodzenia, ale sam z sobą, oko w oko z własnym sumieniem, będzie coraz to biedniejszy, bo coraz więcej będzie tych myśli i czynów, do których przed nikim nie będzie się mógł przyznać. Będzie w ciągłej rozterce, będzie musiał ciągle zważać na swe słowa, na pozory. Coraz bardziej będzie musiał grać komedję: teraz komedję miłości wobec swej żony, później komedję szlachetności wobec społeczeństwa, a jeszcze później będzie zdobywał uznanie i poważanie wśród własnej rodziny, również pozorami i fałszem. Ale uparta natura zaczęła się bronić: cóż w tem takiego strasznego, że nie pomyślał o Kasi? Cóż w tem takiego, że opuścił ją i pozostawił jej losowi? Starał się obronić przed samym sobą: już mu się to udawało, już był bliski rehabilitacji. Powracał powoli na drogę logicznego, spokojnego, konsekwentnego myślenia, jakim się dotychczas kierował. Zrozumiał, że jakieś zmęczenie czy zdenerwowanie było jedynie przyczyną jego dziwnych myśli.

Nalał sobie do szklanki lemoniady i począł łapczywie popijać zimny płyn.

Smutne myśli prawie zupełnie rozprzeczły się pod wpływem miłego uczucia chłodu, jakie na chwilę go ogarnęło. Bogdan nie był naturą, jaką się zwykło nazywać „głęboką“: odzwyczaił się oddawna od ujmowania rzeczy zbyt poważnie, zwłaszcza wtedy, jeżeli nie szło o jego dobro, tylko o cudze. Stwierdził to zresztą już kiedyś jego kolega biurowy, ten antypatyczny Burlecki, który na każdym kroku starał się mu dokuczyć. Burlecki był takim samym charakterem, jak Bogdan, tylko mniej obrotnym, mniej sprytnym, a bardziej niecierpliwym. Stąd powstała między nimi prawie zaraz od pierwszego wejrzenia nienawiść, jaką czuć do siebie mogą jedynie ludzie zdążający do bardzo szczytnych lub bardzo niskich celów. Wstręt na figurę ten Burlecki! Bogdan otrząsnął się jakby sobie przypomniał jakiś koszarowy nocny. Wstrętny i niebezpieczny! Chwała Bogu, że nie muszę go już widywać — pomyślał.

W oddali ukazała się Ola. Bogdan wstał z krzesła i zrobił kilka kroków w jej stronę. Opodal stał jakiś młody człowiek, który przypatrywał mu się badawczo: Bogdan

Ciąg dalszy na str. 12-ej.



Poniżej: Wpływ promieni słonecznych na ziemię, oraz wysyłanie przez księżyc elektronów w kierunku ziemi przerywającej „płaszcz” atmosferyczny.

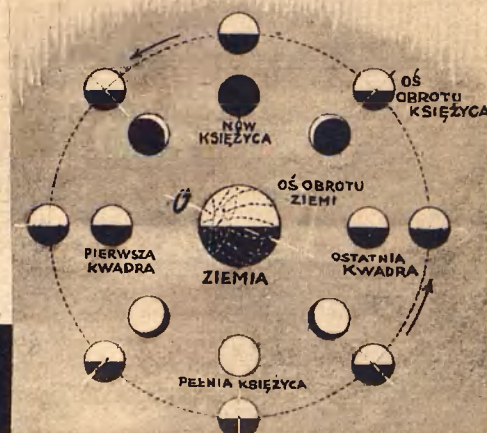
Poniżej: Oto różne fazy księżyca: u góry widzimy zaćmienie księżyca, u dołu jego pełnię.



Wspaniałe zdjęcie księżyca bezpośrednio po pełni ukazuje nam plastycznie jego liczne krater i góry.

KSIEŻYC

winowajcą



W poczyni wierzeniach ludowych księżyc zdawien dawna odgrywa wielką rolę, bodajże donioślejszą, niżeli słońce. Jego srebrzysto-białe światło było i jest wspaniałym tłem dla przygód romantycznych. Ma ono w sobie coś tajemniczego, niepokojącego. Ludzie oddawna też podejrzliwie odnosili się do tego satelity, który krąży dookoła naszego globu, jak gdyby podpatrując, co na ziemi się dzieje i wywierając zagadkowy wpływ na cały szereg zjawisk. Wpływ to nie mały.

Przyznamyśmy choćby potężne zjawiska przypływu i odpływu morza, dziwny związek z fizjologią połowy rodzaju ludzkiego, wpływ na wzrost roślin, zmianę stanu pogody itd. Ile tu jeszcze rzeczy nie zbadanych dokładnie, które może kiedyś ujawnią się jeszcze! W ostatnich czasach zamiast wyjaśnienia starych zagadek, powstały nowe. Przekonano się, że wpływ księżyca sięga jeszcze dalej, niż przypuszczano. Oto na przy-

kład płyty mamurowe, które od r. 1920 specjalnie wystawiano na działanie światła księżycowego, mają dziś powierzchnię niemal całkowicie żółtą. Rozumie się, że ci, którzy te badania przeprowadzili, muszą mieć pewne podstawy do przypuszczenia, że ten skutek można przypisywać wyłącznie tylko światłu księżycowemu, a nie innym jakimś czynnikom atmosferycznym. Tkaniny roślinne pod wpływem światła księżycowego speliły. Dotąd myśleliśmy, że tylko pod wpływem światła słonecznego może coś takiego się zdarzyć. Także i jedwab, zarówno sztuczny, jak i naturalny, wyroby wełniane zostały uszkodzone przez światło księżycowe. Nawet szkło nie zdołało ich uchronić przed tym szkodliwym działaniem. Niektóre związki chemiczne zostały rozłożone, a kultury bakterij uległy zagładzie. Także i pod tym względem księżyc zaczyna konkurencję robić słońcu. Natomiast działa księżyc korzystnie na wzrost i kiełkowanie nasion. Wogóle po-

dobieństwo działania światła księżycowego do promieni słonecznych jest ogromne, tylko, wbrew wszelkim oczekiwaniom, w wielu wypadkach jest jeszcze silniejsze.

A to jest właśnie bardzo dziwne, bo przecież księżyc świeci tylko światłem odbitym, sam przez się nie jest źródłem światła, jak słońce. Jak więc wybrnąć z tego? Otóż zaslanómy się trochę nad tą sprawą. Światło słoneczne jest, jak wiadomo, mieszanina światła różnobarwnych. Mamy w nim światło czerwone, żółte, zielone, niebieskie, fioletowe itd. Prócz tego są w nim promienie niewidzialnego światła, t. zw. podczerwonego i nadfioletowego. To ostatnie m. p. powoduje czerwienienie skóry, zupełnie tak samo, jak światło ultrafioletowe, wydobywające się z lampy kwarcowej. Właśnie światło ultrafioletowe wywiera niesłychanie silny wpływ na wszystko, co napotka na swej drodze. Przecież potrafi nawet wytrącić elektrony z atomów i ogołocić je niejako z ich

szaty zewnętrznej. To niebyłoby jaka sztuka. Takie zjawisko nazywają fizycy „foto-elektrycznością”. W gruncie rzeczy jednak mają rację, bo pod wpływem światła, choć niewidzialnego (fotos) powstaje tu elektryczność. Takie swobodne, wytracone ze swego położenia elektrony, oraz atomy pozbawione jednego lub więcej elektronów, to poprostu nosiciele elektryczności.

Otóż atmosfera, otaczająca kulę ziemską, rozprasza i pochłania częściowo światło słoneczne i osłabia je. Ale i tak przeważająca większość dostaje się na ziemię z wyjątkiem właśnie owych promieni nadfioletowych, które tylko w nieznacznej mierze potrafią się „przecisnąć”. Właśnie one są najsilniejsze w działaniu, najbogatsze w energię, jak się to mówi. A przeszkadza im w przedostaniu się na ziemię, warstwa ozonu, czyli pewna modyfikacja gazu tlenu, która znajduje się w atmosferze na wysokości kilkudziesięciu kilometrów. Kto wie, czy temu płaszczowi z ozonu nie mamy do zawdzięczenia, że się wogóle życie na ziemi utrzymuje. Księżyc takiego płaszcza nie posiada, co więcej, nie ma dookoła siebie wogóle atmosfery. Można by tam wyrzucić z armaty, a niktby nic nie usłyszał, chociażby się znajdował w bezpośredniej bliskości. Gdyby więc ktoś na księżycu nawet żył, toby był głuchy jak pień. Ale księżyc nie posiada życia organicznego, boby się nie mogło utrzymać, skoro nie ma czym oddychać. Na księżycu światło słoneczne, a więc także jego część ultrafioletowa, nie znajduje żadnych przeszkód i może sobie dokonywać swego dzieła zniszczenia. Zjawiska fotoelektryczne, o których wyżej wspominaliśmy, odbywają się tam nieustannie. A skutki? Odczuwamy je właśnie na ziemi.

Jeśli jednak atmosfera nasza i ozon potrafią nas obronić przed zbyt natężonym działaniem promieni słonecznych, to dlaczego nie miałyby potrafić tego samego wobec światła księżycowego, które jest przecież tylko światłem słonecznym, odbitem od powierzchni księżyca? To pytanie jest zupełnie logiczne! Niestety, jednak nie zawsze umiemy na takie logiczne pytania odpowiedzieć. Niektórzy przypuszczają, że w nocy, kiedy księżyc świeci, ten płaszcz ozonowy staje się poprostu „nieszczelny” i przepuszcza brochę tych niepożądanych gości z księżyca. Czy tak jest, to nie jest jeszcze dokładnie zbadane.

Ciekawem jest jednak i to obchodzi dziś wiele milionów ludzi na ziemi, że w nocy księżycowe odbiór radiowy jest o wiele gorszy, niż w czasie nowiu. Jest on tak zły, jak za dnia, gdy świeci słońce. I tu widzimy tę dziwną paralelę ze światłem słonecznym.

Ciąg dalszy ze str. 19.

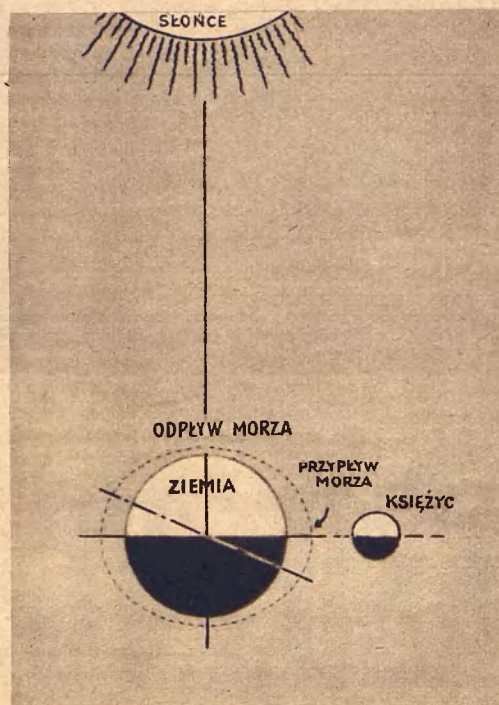
zmrużył oczy, by rozpoznać tę twarz, silne słońce utrudniało bowiem orientację. Z pod angielskiej czapki patrzyły duże, szare oczy, wyzywająco; sylwetka była zasadniczo elegancka, ale raczej przesadna, udająca elegancję. Twarz golona uśmiechała się ironicznie.

Bogdan przestał iść w kierunku swej żony: na sekundę przystanął, gdyż zdawało mu się, że widzi przed sobą Burleckiego. Przypuszczenie potwierdziło się, gdyż młody człowiek zdjął uprzejmie czapkę i nieco zbyt głęboko ukłonił się Bogdanowi. Nie było wątpliwości: Burlecki, jakimś niezbadanym cudem, dostał się na wytworną plażę, na której przebywał Bogdan z żoną. Skąd ten cłystek mógł sobie pozwolić na Riccione? Skąd wziął pieniądze na podróż? Miłe spotkanie, niema co? Zirykowany tem ledwo mu się odskłonił i podążył w stronę żony.

Po chwili usiedli pod barwnym parasolem przy stoliku. Zbliżała się godzina podwieczorku. Ola opowiadała o swych spostrzeżeniach, poczynionych o gościach hotelowych,



Słońce i księżyc współpracują w tworzeniu przypiływu i odpływu mór na ziemi.



Powstawanie przypiływu morza uzależnione jest od działania księżyca.

Rejestr win księżyca się wzbogaca. Jak to znów wytłumaczyć? Próbuja to obecnie w następujący sposób. Księżyc pokazuje ziemi stale to samo oblicze. Jest zwrócony ku ziemi zawsze są samą półkulą. Gdy ta zwrócona ku nam strona jego jest całkowicie oświetlona przez słońce, mamy pełnię, gdy oświetlona jest strona odwrócona od nas natomiast skierowana ku nam znajduje się w cieniu, mówimy o nowiu. W pierwszej i ostatniej kwadrze, tylko połowa półkuli księżycowej ku nam skierowanej jest oświetlona. Zrozumieć to łatwo można na podstawie załączonego rysunku. Otóż w czasie pełni światło księżycowe, a wraz z nim te wszystkie na podstawie zjawiska fotoelektrycznego wytracone elektrony pędzą ku ziemi i „atakują” ją. Taka podróż z księżyca na ziemię, jeśli się uwzględni prędkość światła i również bardzo znaczną szybkość elektronów, ciągnąca się od księżyca ku ziemi. Ta chmura elektronowa trafia na swej drodze w odległości około 100 do 200 kilometrów od ziemi, na warstwę również naelektryzowaną, t. zw. warstwę Kennelly-Heaviside'a, którą, jak wiadomo, ma niesłychanie doniosły wpływ na rozpraszanie się fal radiowych i odbiór radiowy. W tej warstwie przeważa elektryczność ujemna. Również chmura elektronowa jest elektrycznie ujemna. Te dwie elektryczności o jednakowym znaku odpychają się wzajemnie, wskutek czego naelektryzowana, czyli zjonizowana, zbliża się ku ziemi, psując odbiór.

Takby wyglądała teoria tego wpływu księżyca na radio w najogólniejszych zarysach. Ale ciekawe jest, jak starano się doświadczalnie to udowodnić. Posłużono się tu zjawiskiem zaćmienia księżyca. Zaćmienie księżyca zachodzi wtedy, gdy księżyc znajduje się w cieniu ziemi, wskutek czego światło słoneczne do niego wogóle nie dojdzie. Oczywiście, że takie zaćmienie możliwe jest tylko w czasie pełni księżyca. Strona księżyca zwrócona ku ziemi jest w pełni oświetlona tuż przed zaćmieniem. Księżyc opisując swoją orbitę dookoła ziemi dostaje się na kilka godzin w jej cień, a wtedy mamy zaćmienie. Dnia 1 stycznia 1935 przypadło właśnie takie zaćmienie: trwało ono wówczas około 2 godziny i 32 minuty po wschodzie księżyca. A księżyc wszedł na 2 minuty przed zachodem słońca. Przed zaćmieniem i w czasie jego trwania odbiór radiowy był dobry i normalny.

Skoro tylko księżyc wyłonił się z ciemności warunki odbioru się pogarszały szczególnie na falach krótkich, aż stał się takim, jak za dnia. Księżyc ponosi winę nie za jedno zdarzenie na ziemi.

Inż. J. A.

rzeczy naogół mało ciekawe, ale którym Bogdan przysłuchiwał się z udaniem zainteresowaniem, chociaż myślą krążył wokoło Burleckiego. Pojawienie się dawnego kolegi i świadka swych ciężkich czasów zepsuła mu do reszty humor. — Co za pechowny dzień — myślał. Najprzód te przywidzenia z tą Kasią, a teraz znowu ten „miły kolega”.

Zbliżył się kelner, pytając Bogdana i Olę o zamówienie na podwieczorek.

— Wiesz, Bobusi, mimo upału jestem szalenie głodna! Napiłabym się czekolady i zjadłabym kilka biszkoptów. Wszak od tego nie utyję? — dodała z szelmowskim, zalotnym uśmiechem.

— Ale gdzież, jesteś smukła jak lania, Olu! — odparł uprzejmie Bogdan.

Golony pan w angielskiej czapce zbliżał się powolnym, pewnym krokiem do stolika Bogdana. Lecz dopiero, gdy stanął przed nim, został przez niego zauważony.

— Przepraszam kolegę, że może przeszkadzam państwu, ale jako rodak i były przyjaciel postanowiłem ucałować rączki pańskiej uroczej małżonki. Może pan zechce

mnie przedstawić! — wyrzekł Burlecki tonem bardzo spokojnym, grzecznym i wielkoświatowym.

Bogdan czuł się osaczonym. Nie było rady, trzeba go było przyjąć do stolika i poznać z Olą.

— Mój dawny kolega biurowy, pan Burlecki, — wyrzekł, nie patrząc na przybysza. Proszę, miech pan siada — wskazał mu krzesło.

— Bardzo się cieszę, że spotykam rodaków, bo nie lubię przygodnych znajomości, które kończą się nieraz wielkimi rozczarowaniem — ciągnął dalej Burlecki, uśmiechając się uprzejmie w stronę pani Oli.

— Ja również się cieszę, że poznaję jednego z towarzyszy mego męża, którego znajomi stają się przez to samo moimi serdecznymi znajomymi — plotła pani Ola, nie orientując się, jaki stosunek zachodzi między obu mężczyznami.

Raz po raz spotykały się spojrzenia Bogdana i Burleckiego: dawni koledzy badali się wzajemnie, zwłaszcza Bogdan, przeczu-

Dokończenie na str. 24-cj.





W

N O W E J ŚWIĄTYNI KULTURY

Ogólny widok ostatnio otwartego Muzeum Narodowego w Warszawie.

Dzień 18-go czerwca był uroczystym świętem kultury polskiej nie tylko dla stołecznego miasta Warszawy, ale nie mniej ważnym wydarzeniem dla całej Polski. Otwarcie nowego gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie, to nie tylko zaspokojenie jednej z głównych potrzeb stolicy, t. j. stworzenie przytulku nauki i sztuki, ale przede wszystkim warsztat, w którym ma się wykuwać dalsza praca nad pomnażaniem kultury naszego narodu. A to jest już sprawą, dotyczącą nie tylko stolicy jako siedziby tego warsztatu, ale całego państwa, które na rozrost tej kultury będzie się składało.

W uroczystym otwarciu wzięli udział: P. Prezydent R. P. Ignacy Mościcki, przedstawiciele rządu, duchowieństwa, zarządu miasta, świata naukowego, sfer naukowych, razem około trzy tysiące osób.

Zbliżających się do Muzeum uczestników uroczystości witały chorągwie i iluminacja Alei 3-go Maja, dając pierwszy znak, że miasto uważa otwarcie Muzeum za moment podniosły. Wchodzących witał gospodarz miasta, p. prezydent Starzyński oraz dyr. muzeum, p. Lorentz.

W ciągu dwóch lat zdołano muzeum wykończyć, wzbogacić eksponatami i uzupełnić, wreszcie urządzić. Tylko wielkiemu zrozumieniu potrzeb kulturalnych stolicy przez prez. Starzyńskiego i nadwyraz ofiarnej pracy dyr. Lorentza można było już teraz dzieło to doprowadzić do końca.

Dyr. muzeum i kustoszowie uwieńczyli jeszcze dzieło otwarcia muzeum 12-ma publikacjami, jak historia muzeum, przewodniki, katalogi i t. p., dla pośpiechu drukowane w Warszawie i Bydgoszczy. Wszystko było na dzień otwarcia gotowe i należało podnieść niezwykłą ofiarność pracowników, którzy zrezygnowali ze snu, aby tylko dopiąć postawionego celu w terminie.

Zbiory Muzeum Narodowego mają dość długą historję, bo sięgają 1862 roku, kiedy założone zostało Muzeum Sztuk Pięknych. Z powodu braku stałej siedziby, tułały się one po różnych pomieszczeniach tymczasowych i dopiero w r. 1916, kiedy Muzeum Sztuk Pięknych zamieniono na Muzeum Narodowe pod nową dyrekcją Bronisława Gembarzewskiego, znalazły zbiory stały punkt oparcia w gmachu przy ulicy Podwale l. 15. Tam miały pozostawać aż do ostatniego już pomieszczenia w stałej siedzibie t. j. w świeżo otwartym Muzeum Narodowym przy Al. 3-go Maja.

Dzięki wielkiej pracy i zapałowi dyr. Gembarzewskiego, zbiory rozrosły się w sposób imponujący i jak się dowiadujemy z historii Muzeum Narodowego w Warszawie, opracowanej przez dyr. dr. St. Lorentza, a wyda-



Hall wejściowy w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Na prawo:
Niezwykle ciekawy wyraz artystyczny posiada kuta w metalu krata w hallu Muzeum Narodowego.

nej z okazji otwarcia muzeum, liczyły już 1 stycznia 1925 r. przeszło 100.000 pozycji inwentarzowych.

Pierwszej przeprowadzki zbiorów do budującego się nowego muzeum dokonano w r. 1931. — Oddane wówczas na pomieszczenie zbiorów dwa pawilony zapełniły przedmioty przemysłu artystycznego, a uroczyste otwarcie tej części muzeum odbyło się 14 stycznia 1932 r.

Od 1 września 1936 r. nastąpiła zmiana w kierownictwie muzeum, gdyż dyr. Gembarzewski ustąpił, aby poświęcić się wyłącznie prowadzeniu Muzeum Wojska, miejsce zaś jego zajął dr. Stanisław Lorentz.

Nowemu dyrektorowi przypadło w udziale doprowadzenie budowy do końca, a więc wybudowanie 3-ch centralnych pawilonów, instalacje i urządzenie wnętrza, westibul, schody, dziedzińce i t. d.

W ostatnich miesiącach przeniesiono do nowego gmachu resztę zbiorów z ul. Podwale, a urządzenia działów dokonali odnośni kustosz. Zbiory są podzielone na działy:

I. Sztuka starożytna, obejmujący około 4.000 przedmiotów. Kierownikiem jest prof. dr. Kazimierz Michałowski, asystentem mgr. Marja Ludwika Bernhard.

II. i III. Malarstwo obce z ok. 1.200 eksponatami. Kustoszami są: prof. dr. Michał Walicki, doc. dr. Juljusz Starzyński.

Malarstwo polskie z ok. 3.000 szt. eksponatów. Kustosz: dr. Jerzy Sienkiewicz.

IV. Sztuka zdobnicza obejmuje ok. 10.000 szt. eksponatów. Kustosz: Stanisław Gebethner. Kustosz honorowy działu ceramiki: R. St. Ryszard.

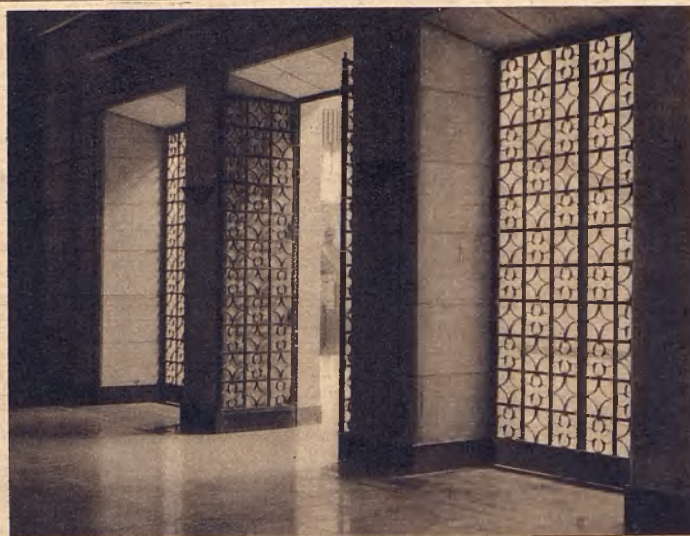
V. Grafika zawiera ok. 61.000 szt. eksponatów. Kierownik: Marja Mrozińska.

VI. Numizmatyka z ok. 47.000 eksponatów. Numizmatycy: Anna Szeimiothowa, Kazimierz Stefański.

VII. Muzeum dawnej Warszawy (w stałym organizacyj). Kustosz: dr. Antoni Wiczorkiewicz.

VIII. Biblioteka, około 11.000 numerów. Bibliotekarz: dr. Kazimierz Molendziński.

Jak widać z powyższego przedstawienia inwentarza muzealnego, nie wyczerpującego zresztą całego stanu posiadanego mate-



riału, ilościowo zbiory prezentują się bardzo poważnie, ale ważniejszą stroną muzeum jest doborowa jakość eksponatów, stawiająca muzeum warszawskie na wyżynie europejskiej. Muzeum przechowuje obok zabytków znaczenia historycznego, rzeczy wysokiej wartości artystycznej, w każdym dziale znajdujemy poważną ilość obiektów, którychby mogło nam każde muzeum zagraniczne pozazdrościć. Muzeum przez naukowe, celowe zestawienie i pokazanie eksponatów, spełnia dydaktyczne zadanie, a w działach zabytków polskich budzi szlachetny sentyment.

Najtrudniejszym przedmiotem zbiorów, jest dawne malarstwo, a to z powodu rzadkości i olbrzymich cen obrazów w Polsce i zagranicą. Muzeum warszawskie już z dawnych lat miało w tym dziale silne fundamenty, założone przez ofiarodawców, uzupełnienie jednak galerji i nadanie ciągłości rozwoju dawnej sztuki malarskiej przypadło w udziale dyrektorowi i kustoszom ostatnich lat. Mimo wielkich trudności, praca ta wydała wielkie rezultaty i z licznych darów i zakupów wypełnione zostały luki tak w malarstwie polskim, jak i obcym.

Bogato przedstawia się dział ceramiki, obejmujący 1850 sztuk, szkła 2300 sztuk.

Od r. 1916 do r. 1938 muzeum zakupiło dzieł za 3 i pół miliona zł. Trudno w rozmiarach krótkiego artykułu wymienić wszystkie walory Muzeum Narodowego w Warszawie, stwierdzić tylko można, że każdy Polak zwiedzający to muzeum, wyniesie z niego uczucie dumy, a zarazem wdzięczności dla tych, co zrozumieniem i pracą do tego dzieła się przyczynili.

Muzeum jako gmach, którego budowa i wykończenie trwały, licząc od położenia kamienia węgielnego około 11 lat, przedstawia się na zewnątrz poważnie obszarem zajmowanej powierzchni, architektura ma cechy celowości, bez pretensji artystycznych. — Wnętrze muzeum imponuje przestrzeniami. Pięknie przedstawia się wejście z vestibulem i schodami głównymi.

Muzeum składa się z 4 pawilonów równoległych, złączonych korpusem głównym. Pierwszy pawilon od strony Wisły zajmuje Muzeum Wojska, reszta zaś stanowi Muzeum Narodowe. Obok zbiorów mieszczą się w budynku kancelarje, pracownie konserwatorskie, wyposażone w nowoczesną aparaturę. Konserwa-

cenne nieraz zabytki grodu wawelskiego, stanie się ono obok warszawskiego drugą z rzędu w Polsce skarbnicą sztuki i nauki, dającą na wieki całe możność gromadzenia zabytków naszej przeszłości.

Muzeum Narodowe krakowskie ma pomieszczenie tymczasowe aż w siedmiu oddziałach, nie może więc spełniać odpowiednio swego posłannictwa. Mnóstwo rzeczy przechowuje się w magazynach, inne z powodu braku miejsca nie są udostępnione. Kraków, miasto, które ma żyć z przeszłości, być miejscem pielgrzymek i turystyki, miasto nauki i tradycji oraz najdroższych relikwii narodowych powinno być oczkiem w głowie u naszych władz centralnych i powinno znaleźć uznanie konieczności większej opieki i pomocy w swoich potrzebach.

Od dziesiątek lat wlokła się sprawa budowy Muzeum w Krakowie. Zmieniały się

Poniżej: Korytarze Muz. Nar. w Warszawie odznaczają się wytworną prostotą.



liczne projekty co do wyboru miejsca, aż wreszcie uzgodniono, że Muzeum ma stanąć u wylotu ul. Marszałka Piłsudskiego. Sprawa budowy Muzeum zaczęła się przyoblekać w realne kształty dopiero od objęcia stanowiska prezydenta miasta przez Dra Mieczysława Kaplickiego, który od początku swego urzędowania postawił wybudowanie Muzeum na pierwszym miejscu w programie swej pracy. Dzięki energicznemu ujęciu sprawy przez Prezydenta Kaplickiego, rozpoczęto budowę, dzieląc ją na dwa etapy. Pierwsza część Muzeum doprowadzona została już do skończenia szkieletu i czeka na wyposażenie wewnętrzne. Druga część ma być budowana po zupełnym wykończeniu pierwszej części, a losy tej budowy tkwią w mrokach nieznanej przyszłości.

Koszt budowy całego Muzeum jest przewidziany w kwocie 5 milionów złotych, suma ta jednak napewno nie wystarczy. Na wykończenie wybudowanej pierwszej części potrzeba jeszcze około półtora miliona zł.

Sama ofiarność publiczna, już bardzo wyczerpana, tych pieniędzy w całości nie dostarczy, trzeba więc szukać innych dróg i źródeł.

Kraków nie jest bogatym miastem i nie jest w stanie podolać usunięcia wszystkich bolączek, musi więc otrzymać jakąś wydatną pomoc, czy to w formie subwencji, czy też pożyczki. Kraków jest zbyt ważnym punktem w Polsce i zbyt ważną odgrywa rolę w świecie naukowym za granicą, aby w dalszym ciągu spotykał się z obojętnością, przynoszącą ujmę nie tylko samemu Krakowi.

Dwadzieścia tysięcy zwiedzających, którzy przeszli przez Muzeum warszawskie, nazajutrz po otwarciu, dało przykład, jak społeczeństwu potrzebny jest pokarm duchowy,

Od lewej: Kolumnada przy wejściu głównym Muzeum Narodowego w Warszawie. — Sala polskiej sztuki średniowiecznej. — Hall na I piętrze zdobiony ciekawe współczesne rzeźby.



torem obrazów jest B. Marconi, sztuki zdobniczej J. Grein, fotografem p. Tomaszewska. Sale wystawowe otrzymały oświetlenie dzienne i nocne według wymagań najbardziej nowoczesnych.

Tak, mniej więcej, przedstawia się Muzeum Narodowe w Warszawie. Cieszymy się, że nasza stolica przez piękne i bogate Muzeum, stała się w rzędzie kulturalnych stolic świata, dając świadectwo, jak poważne miejsce zajmuje naród polski w gronie środowisk kultury europejskiej.

To też delegacje i goście z całego kraju ściskali serdecznie dłonie prezydenta Starzyńskiego i dyrektora Lorentza przy składaniu gratulacji. Skoro muzeum w Krakowie zostanie wykończony i pomieści bez-



Projekt gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie.

Wszystkie zdjęcia „As”.

czepany z wyższych rejonów myśli ludzkiej. Niech ten przykład zachęci ofiarodawców i sfery decydujące w Polsce, dające zawsze dowody pamięci o potrzebach kulturalnych Państwa, do szybkiej i zdecydowanej akcji i przyczyni się do spełnienia ogólnopolskiego postulat.

Nowe te świątynie polskiej sztuki i kultury będą również w przyszłości rękojmią, że nasz kulturalny stan posiadania nie będzie narażony na zniszczenie, jak to się wielokrotnie działo podczas wojny światowej w domach prywatnych i że wydarte pozostałości wojennej zabytki pozostaną nadal w naszym posiadaniu.

R. St. Ryszard.

KANIBALE À LA FOURCHETTE

Zaczyna się dziwna przygoda: Oto oryginalna kartka skierowana do dziennikarza europejskiego przebywającego w Ameryce.



W drodze do Grants Pass auto dziennikarza zostaje otoczone przez dziwne postacie, przypominające ludzi jaskiniowych.

Ameryka już przestała być krajem niespodzianek — powiedział półgłosem dziennikarz z Europy, mister Lohse, kładąc się na małą drzemkę w swoim pokoju, w sławnym hotelu „Pickwick”. — Jestem tu już miesiąc i jeszcze nie zdarzyło mi się nic osobliwego. Nudny kraik! I jeszcze echo ostatnich słów dziennikarza Lohse wałęsało się gdzieś pod sufitem pokoju hotelowego, gdy rozległo się pukanie... „Halo?” — „List do pana!” List był nieco osobliwy, była to, poprostu mówiąc, zwykła kość, na której prócz adresu i starannie nalepionego znaczka pocztowego, znajdowały się słowa: „Panie Lohse! Zechce pan udać się swym autem szosą w kierunku Grants Pass — słońca pana nie spodzianka...” — i nic więcej. Dziennikarzowi nie trzeba było powtarzać dwa razy! Wkrótce jego piękne auto mknęło we wskazanym kierunku. Po kilkudziesięciu kilometrach drogą zaczęła się psuć — niebawem musiał pomyśleć dziennikarz, że zaczęła się psuć — „Dziwnie musi wyglądać moje auto na tle tego napoły dzikiego krajobrazu”. — pomyślał dziennikarz. Nagle rozległy się przeraźliwe ryki i gromada dzwacznych postaci otoczyła jego wóz. Mr. Lohse musiał gwałtownie zahamować. A wtedy obrońcy ludzkie, ubrani w skóry, wyciągnęli go z auta i powlekli do swej najdziwniejszej pod słońcem osady. „Ależ to ludzie pierwotni — olbrzymie Neandertaluni!” — jęknął dziennikarz, któremu olbrzym Talun



Od lewej: Oto pierwszy posiłek, jakim poczęstowano dziennikarza. — Surowe mięso trzeba czemś popić: spragnionego dziennikarza nie odstrasza dziwna postać naczynia, z którego pije. — Jako nowoprzybyły jeniec musi się okupić swym panom grą „w piłkę nożną”, którą jest duży kamień, odznaczający się zupełnym brakiem elastyczności. — Ale przygoda kończy się „happy endem”: auto odwozi dziennikarza do miasta. — A oto ostatni obrazek z romanzy: wytworna kawiarnia pod godłem człowieka z łyżką. — Wszystkie zdjęcia: Mundi — Amsterdam.

Na lewo: Jaskiniowcy biorą w niewolę zdziwionego turystę, który przypatrzywszy się bliżej nowym towarzyszom uważa za wskazane nie stawiać im oporu.

skojarzył się w myśli z człowiekiem z Neanderthalu. „Graj z nami w piłkę!” — zawołał przywódca dzikusów łamań, przedhistoryczną angielszczyzną. Mr. Lohse kopnął z rozmachem kształt, przypominający piłkę, i zawył z bólu: był to bowiem zwykły kamień. Zapomniał, że ci ludzie żyją jeszcze w epoce kamiennej... Dopiero wieczorem wydało się, że mr. Lohse jest gościem najoryginalniejszego klubu: „Klubu Ludzi Pierwotnych”. Dżentelmeni razem z naszym dziennikarzem udali się na dancing do gospody „Pod Jaskiniowym Człowiekiem”. Mr. Lohse już nie twierdzi, że Ameryka nie jest krajem niespodzianek...

Poniżej: Pierwszy kontakt z „kanibalami” jest nieco przykry, ale trudno!





Rozbiór Polski stał się kością niezgody między mocarstwami rozbiorowcami, a powodując między nimi wojnę, przyczynił się do ich rozbitcia i wskrzeszenia Polski.



Coraz silniej rozwijająca się flota niemiecka ugruntowała panowanie kolonialne Niemiec, które w ten sposób poczynali zagrażać ekspansji Wielkiej Brytanji.



Rewanż za utratę Alzacji i Lotaryngji w wojnie 1871 r. stał się „idée fixe” Francji dążącej do odzyskania utraconych prowincji i powodując ciągłe napięcie wobec Niemiec.



Rosja, panując nad większością ludów słowiańskich, poczęła w poł. XIX wieku głosić hasła pansławizmu, za którymi kryła się chęć ingerowania w sprawy bałkańskich.



Nie posiadając żadnych kolonii starała się Austria odškodować przez zabór Bośni i Hercegowiny w 1908 r., oraz przez wpływy na Bałkanach, mogące również dać zyski terytorjalne.



Montowana przez Edwarda VII i Delcassé'go Ententa przewidywała wzięcie Niemiec w „klezczowy uścisk” ze strony Francji i Rosji, co ostatecznie stało się w 1914 r.

Na

SZACHOWNICY

EUROPY

W olbrzymiej sali, której trudno dopatrzyć się końca, przechadza się antycznie ubrana postać, w powłóczystym stroju. Co chwila otwiera jakąś olbrzymią szafę, z której wyjmuje figurkę, podobną do figur szachowych i uczyniwszy nad nią jakieś dziwaczne ruchy, podobne do zaklęć, ustawia ją na szachownicy, leżącej na również olbrzymim stole.

Właśnie wyjęła z szafy krasno pomalowaną figurkę młodej dziewczyny, w fartusku, na którym widnieją ładnie wyhaftowane litery C. S. R. Dziewczę pokraśniało jeszcze bardziej, usłyszawszy słowa tajemniczej pani i zaśmiano oczęta.

— Będą dybać na twoją całość, będą chcieli cię uwieść! — mówi postać. Masz tu karabin, armatkę i trochę grochu, abyś się mogła bronić. Reszta do ciebie należy!

Olbrzymia szachownica zapelnia się figurami: figuranci pozostali w szafie. Widzimy więc wyciągniętą rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, czapkę spiczastą z czerwoną gwiazdą, widzimy Hiszpana-toreadora, który zamiast byków może śmiało zabijać swych rodaków, a dalej wieżę w postaci łuku triumfalnego Tytusa, czy Konstantyna. Oto figury szachowe, które owa pani, — zwana przez starożytnych Ananke, przez nowożytnych Polityką, — rzuca w bój. Wnet zakotłuje się na szachownicy: pionki, zbroczone krwią lub czerwonymi wstęgami orderowemi, albo czerwonymi gwiazdami, będą padać lub iść dalej do ataku.

Figury szachowe są niezmiennie, jak i reguły tej gry, figury natomiast tej szachownicy europejskiej zmieniają się co pewien czas, a i z zasady gry się zmieniają. Gdy w szachach nie wolno „brać króla”, tu nie tylko go się nieraz bierze, ale, co gorsza, zabija! Dwadzieścia lat temu przydarzyło się to carowi Mikołajowi, dziesięć lat temu powtórzyło się to samo w Madrycie i nie raz jeszcze się zdarzy.

Porównajmy repertuar szachownicy europejskiej z roku 1914, z tym, jaki był aktualny w dwadzieścia lat później. Te dumasowskie „dwadzieścia lat później” rzeczywiście do niepoznania zmieniły oblicze szachownicy: przybyło figur, przybyło też komplikacji i możliwych ruchów. Jakież były w przededniu wielkiej wojny kwestje, które wchodziły w grę w polityce europejskiej? Przedewszystkiem sprawa polska. Rozbiór Polski, dokonany „sprawiedliwie” przez trzy mocarstwa, był w danej chwili zdobyczą. Ale owa „szara eminencja” Historji, jaką jest Los, pomściła krwawo tę zbrodnię: mocarstwa, dotychczas zgodne, poczęły się kłócić. Każde z nich chciało mieć wszystkie ziemie polskie: Rosja jako największe mocarstwo słowiańskie, Austria uważając, że ma z Polską wspólną kulturę zachodnią i katolicką. Berlin i Petersburg oddały się na tem tle do siebie, aż w końcu zbliżyły się na... odległość rowów strzeleckich w r. 1914. „Le gâteau de la Pologne”, ten tort europejski, który pokrajano w r. 1794, stał się kością niezgody i, dalej, powodem upadku tych państw. Francuzi nie zapomnieli straty Alzacji i Lotaryngji w r. 1871, rewanż stał się ich „idée fixe”. Naprężenie wzrosło tem bar-

Od r. 1918 przybył polityce europejskiej nowy współczynnik w postaci podsycanego przez Niemcy, komunizmu rosyjskiego, który wkrótce wprowadził w Europie zamęt.



Stworzona przez traktat wersalski Czechosłowacja ujawniła charakter zbliżony do austriackiego „bigosu narodowościowego”, i stała się pożądanym łupem dla Niemiec.



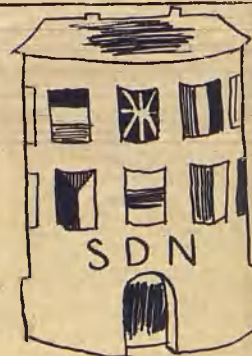
Od chwili objęcia rządów przez partję nacjonal-socjalistyczną, Niemcy przeszli od stanowiska „defensywnego do ataku, chcąc włączyć wszystkich Niemców w swe granice.



Również faszyzm wzmógł dynamiczność narodową Włochów, którzy, zwłaszcza po zabrozie Abisynji, dążą do ugruntowania swego panowania kolonialnego, jako dziedzice Rzymian.



Upadek monarchji w Hiszpanji wydał ten kraj na łup wewnętrznych rozsterrek, z których skorzystały Sowiety, czyniąc z półwyspu ważny ośrodek polityki europejskiej.



Powołana do wielkich zadań Liga Narodów stała się „romantycznym” parawanem, za którym tem silniej niektóre państwa przygotowywały się do przyszłej akcji.

dziej, gdy powstawać zaczęła Ententa, chcąc wziąć Niemcy w kleszcze rosyjsko-francuskie. Oto drugi współczynnik wojny europejskiej. Trzeci to kolonialna potęga Niemiec. Zgodnie ze słowami Wilhelma II. „Deutschlands Zukunft liegt auf dem Wasser“ Niemcy stworzyły olbrzymią flotę, zdobyły kolonie, zaczęły zagrażać Wielkiej Brytanii. Biedna Austria, nie mająca kolonii, chciała nadrobić swe braki zaborem Bośni i Hercegowiny. W 60-tą rocznicę panowania cesarza Franciszka Józefa, w r. 1908 ówczesny minister spraw zagranicznych Austrii, bar. Aehrenthal, przeprowadził bezkrwawą aneksję, zabierając tę, zasadniczo tureckie, prowincję. Otrzymał za to order św. Stefana i tytuł hrabiowski, a Austria dorzuciła do ogniska europejskiego jedną żagiew więcej, gdyż ekspansja Austrii, idąca na Bałkany, w imię interesów Węgier i tradycji serbskich księcia Eugenjusza sabaudzkiego i Karola Lotaryńskiego, spotkała się tam z kontrekspansją rosyjską. Rosja, opiekunka Słowian i pretendentka do zdobycia Konstantynopola, siedziby greckiej kultury, z której sama korzystała przez wieki, wykonywała czynną opiekę nad Serbią i Bułgarią. W Serbii więc przecinały się ścieżki wpływów austriackich i rosyjskich. Armaty były już naładowane, trzeba było tylko przyłożyć lont. Przyłożył go Serb, Princip, strzelając dnia 28 czerwca 1914 do arcyks. Franciszka Ferdynanda w Serajewie i pozbawiając go życia.

Na widowni Europy siedzieli zmartwiali ze strachu narody, czekając na rozpoczęcie przedstawienia. Widowisko było wspaniałe; kręcąca się scena Reinhardta była w porównaniu z prędkim tempem zmieniania się obrazów wojny europejskiej prymitywem pierwszej klasy. Niestety aktorzy, w zapale, potłamali wszystkie meble, poranili spektatorów i wogóle cały teatr spłonął.

Trzeba było zaczynać od nowa. Każdy kongres, ustalający granice nowych państw, staje się w załączku niszczycielem tych granic: taka jest już przerotność historii. Jak w r. 1815



Oto iskra, która wysadziła w powietrze beczki z prochem starej Europy: Kilka minut po zamachu na arcyks. Franciszka Ferdynanda, morderca Princip zostaje ujęty przez policyjną.

w Wiedniu, poważni dyplomaci zasiedli w Wersalu do spisywania „status praesens“. Siwomono nowe państwa, inne pogiębiono. Ale nieomal zaraz po traktacie, okazało się, że jest obecnie więcej niezadowolonych, niż było przedtem. Wszyscy mieli do wszystkich pretensje: Węgrzy do Czechów i Rumunów, Niemcy do Polaków, Polacy do Niemców,

Włosi do Jugosłowian, Chorwaci do Serbów, itd. Zbudowano wielki mur, na którym widniał napis „traktat wersalski“, a rozrywka wielu narodów europejskich było walenie w ten mur taranami. Nie wiele udało się jednak uratować: z traktatu padał paragraf za paragrafem, a tymczasem w Niemczech powstawały paragrafy aryjskie. Hitler wyciągał rękę, ale nie do innych państw, tylko gdzieś w przestrzeni, nie wiedząc jeszcze dokładnie gdzie i kogo trzeba będzie zaanektować. W końcu Niemcy zdały sobie sprawę, że przede wszystkim uderzyć należy na Czechosłowację, która jako owa wspomniana dziewczyna w fartuszkach weszła nieśmiało na arenę polityki. Ale w tym samym czasie i Włochy doszły do przekonania, że jest im ciasno, i że wartoby poszerzyć ten pokój, w którym mieszkają, a jeżeli się to nie da, to zmienić go na wojnę. Wzięły Afrykę Abisynję, a Europę na kawał i ogłosiły Imperium Romanum. Przybyła więc nowa figura w grze europejskiej. Lecz zaraz potem ulubione w Hiszpanii walki byków zostały znacznie udoskonalone, gdyż na arenie zamiast byków znaleźli się ludzie, umiejący dobrze strzelać. Reżyserję objęła Rosja, dusząca się w swoim małym kraiku i szukająca nowych terenów ekspansji. Zaczęły się ciekawe wyścigi między Rosją a Włochami i Niemcami, w których rosyjski konik to wygrywał o głowę tego lub innego powieszzonego komisarza, to znowu przegrywał partję. Tradycyjnie nastrojona Francja idąc za powiedzeniem Ludwika XIV „il n'y a plus de Pyrénées“ otworzyła granice dla czerwonych żołnierzy i czerwonej broni, co znowu zirytowało Niemcy i Włochy. Nie będziemy już wyszczególniać innych „newralgicznych“ punktów Europy: te wystarczą. Warto tylko wspomnieć, że staruszka Europa przechodzi obecnie fazę ząbkowania o tyle, że zbroi się po zęby, a Bóg raczy wiedzieć, jakie choroby ją jeszcze czekają....

Jan Maleszewski.



Partja szachów podczas wojny światowej z udziałem (od lewej) generałów Cadorny, Haiga, w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, Joffre'a, oraz Hindenburga i Hötendorfa.

1914

1934



RODOWÓD „ASA”

Wiadomo, że słowo „as” jest homonimem. Jego wieloznaczność logiczna obejmuje szeroki zakres pojęć, których treść uwidacznia się dopiero w rozpatrywanym kontekście.

To „verbum mobile” znane jest brydżystom (i innym pośledniejszym amatorom gier karcianych) jako najwyższa i zawsze cenna, we własnym ręku karta („as pik, as coeur, as trefl, as karo”), dla sportowców wszystkich kategorii i wag jest uosobieniem mistrzowskiego uplasowania na czołowym miejscu jakiegokolwiek bądź tabeli, dla kulturalnych czytelników jest miłym wspomnieniem interesującej lektury jedynej w Polsce wartościowego magazynu, dla literatów, malarzy itp. sług różnych Muz jest cichym westchnieniem za świetlaną przyszłością itd. itd.

Możnaby znaczenia tego arcysłowa „as” ciągnąć w prawie niekończący się szereg. Zajmuje ono wyjątkową wprost pozycję w polskim słownictwie. Jako „nomen specificum” jest pięknym imieniem (czy nazwaniem) rasowego terriera, znawcom rodzinnego piśmiennictwa znane jest jako tytuł wartości-

wego dzieła Dygasińskiego, dla chemików reprezentuje symbol arsenu, muzykom służy jako ton a obniżony chromatycznie, geografów prowadzi do czeskiego miasta koło Karlovych Varów, — jednym słowem nie ma bodajże dziedzin, w której nie można by znaleźć tego wszechobylskiego znaku.

Kiedy zaś doszło się do tego stwierdzenia, to z konieczności korcić musi każdego pytanie, skąd wziął się ten ciekawy okaz leksykograficzny? Gdzie jego miejsce urodzenia? Jakiego jego personalja?”

„As” pochodzi z Rzymu; Roma antiqua, ta ówczesna metropolja świata, była miejscem jego szlachetnego „urodzenia”. Bardzo dawno, bo przeszło 2000 lat temu, starożytni Rzymianie zamiast posługiwać się naszymi kilogramami i metrami woleli używać „asa” jako jednostki miary i wagi (t. zw. as libra). Zgodnie z ich systemem mierzenia podzielili go na 12 uncji, ułatwiając sobie życie codzienne jeszcze w ten sposób, że transakcje kupna-sprzedaży dokonywali w ułamkowych częściach „asa”, noszących dźwięcznie brzmiące nazwy dex-

tansu, sextansu, quadransu, triensu, semisu i t. d.

Widocznie przyjemnie im było używać tego miarowo-wagowego asa, bo wkrótce — było to około IV wieku przed Chr. — przyjęli go do swego prymitywnego jeszcze systemu monetarnego. Trzeba zaś wiedzieć, że najdawniejsze rzymskie monety nie miały wyglądu i formy naszych dzisiejszych złotych, okrągłych monet o oznaczonej wartości i „obliczu” menniczym, ten wygląd pieniądza bowiem wykształcił się dopiero w ciągu wieków.

Początkowo pieniądz starożytny był bity w formie czworobocznych sztabek w kształcie cegiełek. Wartość jego zaś obliczano pierwotnie tylko wedle ciężaru, przyczem jakoś metalu, z jakiego był odlany, wchodziła oczywiście w rachubę w rozliczeniach handlowych. Ten pieniądz starożytny był w początkach istnienia systemów monetarnych bity prawie wyłącznie z miedzi.

Otóż „as” jako rzymska moneta był w noworodkowym swym stanie zwykłą czworoboczną sztabką miedzianą o wadze rzymskiego funta (z 327,45 gramów), bez jakiegokolwiek ozdób czy oznaczeń. Dopiero za panowania Serwiusa Tulliusa wykryto na jednej stronie tej „ciegielkowskiej” monety podobiznę zwierzęcia domowego, nieczem na naszych złotych — orła. Taka „kanciastofuntowa” moneta była oczywiście b. niewygodna w użyciu, choćby z powodu swego wcale nieminijalnego ciężaru i wymiaru, z czasem więc wypuszczono na rynek pieniężny „asa” w kształcie monety okrągłej, przyczem jednak jego wagę pierwotną zostawiono tę samą; podniesiono natomiast na wyższy poziom jego wygląd artystyczny, ozdabiając obie strony funtowego krążka rycinami: z jednej strony wyrzyto dwugłowe oblicze boga Janusa, z drugiej zaś wybito wizerunek przedniej części okrętu rzymskiego, zwanej vostrum. Ewolucja „asa” nie skończyła się jednak na tem. — Z biegiem czasu poczęto go jako jednostkę monetarną dzielić na drobne części — tak jak u nas można rozmienić złoty na grosze.

Wprowadzenie w Rzymie około 268-go roku przed Chr. monety srebrnej pod nazwą denar spowodowało deprecjację asa miedzianego. Strącono „bożka” z tronu. Przede wszystkim wzięto się do jego zawartości metalicznej: z 12 uncji zmniejszono go do jednej szóstej asa ciężarowego, to zmniejszenie jego wagi stało się jakoby hasłem i przyczyną jego oficjalnej degradacji. Nie ominęła go też, tak modna obecnie tendencja dewaluacyjna: po wielu eksperymentach walutowych wartość „asa” katastrofalnie obniżono do dwóch setnych jego pierwotnego waloru. Z głównej monety obiegowej stoczył się w czasach Cesarstwa do skromnej roli niedzianej monety zdawkowej.

„As” jako pieniądz odżył jeszcze przez pewien czas w średniowieczu w Holandji i miastach hanzeatyckich (np. Kolonia, Hamburg), nie odegrał on jednak już tutaj wszechwładnej roli głównego miernika wartości oraz potężnego środka obiegowego i płatniczego. Jako „sługa Mamony” zgasił bezpowrotnie, jak kometa na niebie.

W nowszych czasach zabłysł „as” na nowo, ale już w innym, wielorakiem zresztą znaczeniu i w innej zgola szacie. Stał się głównie wyrazem optymalnego kryterjum oceny wartości wszechrzeczny.

Po tamtym dawnym pozostało tylko wspomnienie, które zamknięto w szklanych gablotkach numizmatycznego działu wielkomięjskiego muzeum. Dziś zaś dokonaliśmy „ekshumacji” jego, ażeby w „Asie” była wzmianka o „asie”.

Mgr. Stefan Mizera.

Pamiętkowe zdjęcia

Staną się ozdobą Twego albumu, jeżeli wykonane będą na płytach, błonach i papierach ERO. Błony panchromatyczne, przeciwodblaskowe ERO — Spektrum 28 Sch. są niezastąpione dla doświadczonych amatorów artystów.



ERO

ZADOWOLENIE FACHOWCA — RADOŚĆ AMATORA!



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”

SPOTKANIE

WALC ANGIELSKI

Muzyka i słowa: WŁADYSŁAW MIKUŁA.

mf f

Tempo di valse ingl. dolce cresc.

poco

Kie-dy w sercu mym pa-no-wał mrok,

dim. pp p

Po - wró-ci-tas mój sła-skiiony cie - szyć wzrok. Ra - dość dech za - pie - ra, braknie

dim. loco 8va loco

słów, O - czy wie-rzyć nie cho - żeś ty ze - mna znów! Tu - flu

8

je - zio - ra lek - ko drży, Księ - że wnięć cud - nie łśni.

8

8va

O - to tód-ka, po - pły-nie-my hen, *cre-... sen-... do* Mech się speł-ni mój cza-ro-wny

8va

rit. 8va *mf a tempo* *cresc.*

sen! Twój głos ko-cha-ny w u-chu wciąż mi drgał. Czar drogich wspomnień dołąd

8va

rit. f dim. p pp *cresc.*

w sercu mym trwał, Wie-rzy-łem zawsze mocno w to, że mi-nie dla nas smutek zło...

8va

f rit. a tempo dim. p *espress.*

Ach! Że wrócisz, bo ci jest be-z-e-mnie źle... Że tęsknisz, kochasz tyl-ko mnie.

8va

cresc. dim. p pp

I o-to wśród za-pachu bzów, po-wracasz do mnie znów!

pp

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

Fabryka dachówek.

IAN BOLESŁAW OŻÓG

„Fabryka dachówek” kryła się w „starej chatupie”.

Całą izbę, ciemną, zastawioną sztalugami i rzędami blaszanych form poit drażniący zapach oliwy i cementu, który w papierowych workach stał w sieni. Świecił się także komin z osmolonym gzymsem. Jak daleko sięgnę pamięcią wstecz, zawsze na tym gzymś leżała gruszkowata fajka. Teraz tkwiła ona w zębach wuja Piotra. Z podkaszaniemi rękoma stał nad żelaznym stołem.

— Co, Pieter, znowu robisz?

— A ino! Co chwila spoczywam, bo gorąc jaz jaz!... strzyknął przez zęby i odechnął się głęboko, wywijał kielnią nad czołem. Na to tylko czekałem.

— A poco przyszedłeś do nas? — zagadnął mnie.

— Przyniosłem Marcinowi książki, a teraz już wracam do domu. Chciałbym się przypatrzeć, jak idzie robota.

— A to zostań. Masz czas... Papierówki?

— Spatrzaj! — podsunąłem mu kapelusz z jabłkami

Włożył jedno jabłko do gęby, a potem zaraz zanurzył kielnię w cebrzyku i nakładał cement na formę. Stałem obok, umyślnie jak najbliżej, ażeby widzieć wszystko. Od zapachu oliwy zakręciło mi się w głowie, ale na to nie zważałem.

A Pieter ubija bryję drewnianym tłukiem, a potem stalowym strychulcem przejeżdża po formie — tam i wzdłuż, skrapia cement pokostem i znów głaszcze kluczem, a tak zgrabnie i szybko, że proszę siadać. Następnie bosą nogą trąca peda, wskutek czego w szczękach blach wyskakuje gotowa dachówka, akurat na wysokość piersi, którą trzeba tylko odebrać i odłożyć na suche miejsce. Pieter kładzie dachówki na sztalugi, ale wiem, że jeszcze należy je wietrzyć w osobnej szopie i na przewiewie.

Robota idzie. Co moment bierze Pieter nową formę z podłogi, naoliwia ją pendzlem (a jest to pendzel z końskiego ogona) i powtarza się od początku, niestrudzenie, sprawnie nad wyraz. Chwilami, zwłaszcza gdy przyspiesza, widać tylko jakby jedno wywiniecie kielnią i jedno błyskanie kluczem. Cudownie!

Zdaje mi się, że wpadam w pewnego rodzaju upojenie. Zagłuszony muzyką stukotań, rytmiczną mową uderzeń i pchnięć, czepiam się kuczowo spodni wuja i patrzę z podziwem na warsztal, po którym skaczą formne tafle z cementu o jaskrawych kółkach. Zaglądam pod spód blatu, gdzie mieszczą się pedały, palcami chciałbym pieścić ciężkie mutry i srebrzyste klucze.

W izbie gorąco i duszno. Pieter odsapnął, złożył ostatnią formę na okienku i kiwnął na mnie głową.

— Chodźmy!

Wywlekliśmy się na podwórze. Za płotem „wsi” stoi podługowata ława. Pokazuje:

— O, tu se spocniemy.

Pieter wsadził ręce do kieszeni rajtek i siadł ciężko. Głowę i plecy wsparł o szlachetę, nogi podsunął pod siebie, — rozległ się chrzęst złamanego łopuchu. Słychać szelest liści na osikach i brzęk much.

Wylazłem na ławę z nogami i wdychałem chłód cienia i wody. O kilka kroków w bok wietrzyła się sadzawka i widać było na wo-

dzie pływające pszczoły, które wpadły tutaj, wylatując z uli, ustawionych za płotem sąsiada.

Naprzeciwno widzę tu kapliczkę. Tu straszło temi czasami. Ktoś w czerwonym berecie orał nocą. Pokazywały się także siwe światełka o północy i słychać się dawało trzaskanie z bata. Ludzie, którzy to widzieli, mówili, że orka szła rozlaże, plug djabełski ciągnął widać tylko jeden skórnik...

Zamysliłem się. Patrzyłem uważnie. Kapliczka pokryta malowaną na czerwono blachą miała ściany tak białe, że na tle zieleni młodych grabin i w cieniu czterech osik wyglądała jak duża porcelanowa bańka zdjęta z telegrafu. Tylko jedna osika wyciągała ku górze dwa szerokie, grube konary, zrośnięte w połowie. Jedna taka osika wystarczałaby, jak mówi Pieter, na wykonanie ośmiu masarskich koryt. Poza tem nic tu niesamowitego nie zachodziło.

Pieter wyjął tytonierkę i kręcił papierosa. Jedna bibułka spadła mu koło nogi i leżała na płaskim, dużym kamieniu, co go tu zasadzili niby schodek na Wielkanoc, żeby Marcin strzelał z kalichlorku... Długo się nachylał Pieter po tę bibułkę. Nabrzmiaty mu na szyi wszystkie żyły i z czoła białego czapka spadła. Śmiałem się i on się śmiał.

Dobry był chłop. Wszyscy go lubili. Potrafił zadowolić babkę: drzewa przynieść, umleć ziarna, plewy świniom utłuc, wszystko... Lubił robotę. Potem szedł do dachówki. Miał swoje lata, ale się nie żenił, bo był chory. Pocichu się mówiło, że ma chorobę św. Walentego. Właśnie dlatego Pietra wszyscy tak pilnują.

Zawsze się większą tklivością otacza nieścisłościwego, kalekę, nieuleczalnie chorego. Wiadomo, że z choroby św. Walentego nikt nie wychodzi; pozostaje to na całe życie.

Gdym się teraz wpatrywał w wujka, załami się zrobiło: — Jak cię kocham, wuju dobry i piękny, wspomniał ci z tym papierosem!... Niebieskie oczy i wąsiki do góry podkręcone nawet nie pokazywały, że wuj ma tę chorobę.

To było bardzo dziwne. Pamiętam, przypominam sobie dokładnie, jak to raz przynieśli chłopci omdlałego wujka z kościoła na organistówkę, jak nim targali skurcze, jak się wił całkiem nieprzytomny i jęczał i musiał się go trzymać, żeby się nie pokaleczył na łóżku. Było to straszne. Wtedy matka płakała i opowiedziała tę historię. Znam ją, pamiętam wszystko. W domu tam byli jeszcze wszyscy mali: mama, wujek Józek i Wojtuś i ciotcie: Hanusia i Kasia, a Marcina jeszcze wogóle nie było na świecie. Najmłodszego Petka zapamiętali, jak liczył sześć lat. Pietrek bardzo lubił konie. Dziadek chował dwie pary koni, zwyczajnie przy dużym gospodarstwie. Pietrek jeździł na każdym, oswajał się — znał je, latem co niedzieli obie pary pasał w lesie. Las był jego! Poprostu rwał się z płaczem do lejców, a starsi ustępowali najmłodszemu miejsca. W polu przesiadał się na ognistego ogiera. Ogier był płochliwy, dziadek zawsze krzyczał i drżał, kiedy mały wskakiwał na siodełko, ale wkońcu pozwalał. Patrzył z ganku, pod winogradem. Tam biegł okiem w zapola i cieszył się, że chłopak ma „chęć” do koni.

Bał się dziadek nieszczęścia, ale nie przeżywał, że ono nadejdzie. Jak to niewiadomo jest dzień i godzina!... Było to w samo południe, w żniwa. Chłopcy starsi zostali jeszcze w polu przy składaniu żyta, dziewczęta doły w stajni krowy, dziadka brakło całkiem, bo poszedł na drugą wieś bić świnie — masarstwem też się trochę trudnił — wszyscy się gdzieś porozchodzili... A Pietrek też nie było. Ani jego, ani gniadego w stajni. — Tylko wrota od wsi stały szeroko otwarte.

Nagle przeszył powietrze przeraźliwy kwik konia i prawie w tej samej chwili otarł się o wrota siwe spieniony ogier. Porwane lejce, strach w zjeżnionym grzywie. Nie zatrzymał się.



UNIVERSITÉ DE BEAUTÉ
CÉDIB PARIS
PUDRY KREMY
SZMINKI PŁYNY

Wtasma instytucje kosmetyczne w całej Polsce.

Wpadł na ogród, złamał żerdź i pognał dalej. W pola, w świat!

O zły i niedobry gniadoszu, zląkłeś się na drodze głupiej kury? Poniosła cię swawola! Biada! Gdzież teraz Pietrek, coś go niósł na sobie! Nie wiesz? I teraz cię strach zdjął? O zły i dziki koniu, biada ci!

Najpierw babka wybiegła z izby na pastwisko. — Nie daj Boże, żeby mu się co złego stało! — skamli — dopiero co jak siadł na żrebka! — już jest we wrotach, patrzy, a tam na kamienistej drodze gromada chłopów. — Cóż oni tak podnoszą te ręce i nogi! — dźwigają wolno i ostrożnie! Ależ to niosą jego, chłopaka! Jej najmilszego! Coś się łamie, nie może zrozumieć jeszcze, nagle straszna prawda wdiera się w czaszkę, jakby ją coś chciało rozsadzić:

— Zabity! zabity! — Mocny Boże!

Szloch rozdiera słabą pierś, przez moment nic nie widzi, — lży jak wodą... Już nie może czekać. Są coraz bliżej, idą wprost do niej. Leci teraz bez pamięci, dopada chłopów — jacy oni bladzi — woła: — Pietruś! Pietruś! — trzęsie chłopcem, krzyczy, błaga, ale ciało się nie rusza.

Wchodzą już w podwórcę, a z nimi ludzie, dzieci, pół wsi. Już wieść pobiegła, że chłopak u Zdebiów się zabił. Składają Pietrusia Miguś siwy i cieśla Franek w sieni na przyści, i tak smutno! Już obie siostry ukłękły i płaczą nad ciałem:

— Pietruś! pociąg to zrobił, pociąg to zrobił...

Pamiętam, że mamie zawsze świeczki w oczach stają, gdy do tego opowiadania dochodzi. Ale potem weseleje, unosi się głos

Filiżanka zimnego KAKAO WEDLA z biskoptami doskonały podwieczorek na dni upalne

i słysząc jakby oddech ulgi: Oto Pietrka w tym placu dziewczęta i krzyku ludzi zaczęło cucić wodą. Już i dziadek przybiegł z drugiej wsi, miał podkrwawione jeszcze ręce od świńskiej juchy. Krzyknął przeraźliwie: — Dawać płachty! W mig zrozumiano, o co chodzi. Że wcześniej o tem nie przypomnieli sobie. Wzięto chłopca w płachtę i czterech chłopów podrzuciło nim w powietrze. Pomogło. Po pół godziny uderzył puls nanowo raz i drugi. Wyczuł to dziadek. Łało się z niego, dygotał z utrudzenia, ale ucozuł, że serce bije. — Doktora — krzyknął i zobaczyli, że dziadek szlochą i śmieje się.

Z biedą wielką, ale wkońcu udało się

chłopca ocucić. Długo chorował, przeszło pół roku, aż i wyzdrowiał. Została tylko pamiątka — choroba św. Walentego... A przy drodze, na miejscu, gdzie Pieter spadł z konia, wystawił dziadek kapliczkę. Ach, ile to już lat minęło! Osiki rosną i rosną. Pytam je oczyma: — Drzewa, drzewa dziwne, dokąd to? Czy nie żal wam wuj?... Słucham — słucham. — Osiki szumią.

Twarz Pietra powlekał wody blask i słońca szmer. Pochyla się teraz i bierze z ziemi na palce mokre, zziębłe pszczoły, które płynęły do brzegu i schnął na trawie, nie mogą jeszcze podfrunąć. — Takie to maleństwo — szpce — a jakie zmyślnie! Miód zbiera po kwiatkach, a potem ludzie niedobrzy wszystkim zabiorą. — Jak one — biedactwa się skapały! — litujemy się.

I jest coś niezwykle bolesnego, gdy usta wuja zaczynają drżeć i słyszę westchnienie. To jak znak zbliżającego się ataku... Drżałem na ławce i nie ruszałem się. Tak dobrze było siedzieć i już nie nie mówić. Rosa zaświeciła się w trawie, szmer wiązków nad głową. Kończył się dzień i dochodził nas w milczeniu wieczór Matki Boskiej Anielskiej. Zeszły gwiazdy i nad dachem szopy sfrunęły z drzew i traw cmy wieczorne, białe. I cuchnie oliwą świeżo pomalowana dachówka, która schnie... Tyle pracy i przyjadą po nią wozem i zabiorą szybko. I może tylko z niej ktoś — tam — kiedyś ułoży, niewidziane jeszcze nigdy wzory, kwiaty i romby i krzyżki na dachu nowego domu.

W wieczór ten widzieliśmy, jak gwiazda spadła nad kapliczką. Świeciła się na gałęziach w osice i zgasała.

Dokończenie ze str. 12-tej.

wając jakąś zdradę, ale nie wiedząc z której strony, miał się na baczności, by odparować zdradzieckie uderzenie.

— Nie mają państwo pojęcia, jak serdecznie echem odbiło się w kołach dawnych kolegów i znajomych pańskie małżeństwo i pańskie szczęście! — mówił Burlecki.

— Widzisz, Bobusiu, jak to miło mieć takich znajomych! — zauważyła pani Ola, która, jak nie poinformowany o niczem widz, przypatrywała się, nie rozumiejąc wcale dwóch nieprzyjaciół.

— Bo też Bogdan zasługiwał na szczęście. Jaki był pracowity, jaki zabiegliwy. Gdy myśmy nieraz trawili noce na różnych „lumpkach“, on myślał tylko o dokształcaniu się. Każdą chwilę wyzyskiwał, aby przygotować się do wybitnej roli, jaką w przyszłości zamierzał odegrać w życiu. Nie łatwo spotkać takiego człowieka...

Każdy komplement, padający z ust Burleckiego, był jedną obelgą więcej dla Bogdana; wiedział bowiem, że jego były kolega nie wierzył w to, co mówi, i poprostu drwił z niego, wykorzystując sytuację i niemożność Bogdana zareagowania na jego powiedzenia.

— Ale los go nagrodził: spotkał tak piękną i miłą kobietę, jak pani, dla której zapomniał o wszystkim. Nawet o swej dawnej miłości...

Zapanowała chwila przykry ciszy. Chcąc nie chcąc, Bogdan musiał coś powiedzieć, więc rzucił niby od niechcenia:

— Każdy młody człowiek zapomina o flirtach, gdy przychodzi prawdziwa miłość.

— Swoją drogą, zapomniał pan prędzej, niż byśmy się, pańscy dawni koledzy, spodziewali. Pan przecie kochał pannę Kasię...

— Nie mówmy o tem, — przeciał dalszą rozmowę Bogdan, tem więcej, że Ola zaczęła nadśledzić z zainteresowaniem.

— Owszem, nie mówiłbym o tem, gdyby nie pewne okoliczności. Pani wybaczy, że o tem mówię, ale jutro stąd wyjeżdżam i nie będę miał już sposobności, a sprawa jest o tyle pilna... Burlecki cofnął się w tył, zasiadając lepiej w fotelu, jak to się zwykło robić, gdy rozmowa toczy się po myśli i człowiek nabiera pewności siebie.

— Panna Kasia umarła, niedawno temu, jakieś trzy miesiące. Umarła z choroby piersiowej i z głędy... Nikt się nią nie zaopiekował... Ja nie miałem powodu, rodziny nie miała, miała tylko Pana...

Nerwy Bogdana nie wytrzymały. Odepchnął z całej siły stół, wstał i krzyknął zdławionym głosem:

— Niech mi się pan w tej chwili stąd wynosi! Przyszedł pan robić intrygi!

Burlecki wstał, był bardzo błady, ale zadowolony i uśmiechnięty.

— Bardzo panią przepraszam za tę awanturę, ale nie wiedziałem, że mąż pani ukrywał tę sprawę przed panią, bo inaczejbym o niej nie wspominał. Miałem mu tylko oddać list tej nieszczęśliwej dziewczyny. Oddaje go pani, jako w godniejsze ręce.

Wzięła pani Oli kopertę i zanim zdolała coś powiedzieć, ukłonił się i odszedł.

Ciężko dysząc, usiadł znów przy stole Bogdan. Nie śmiał spojrzeć na żonę i nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jak wszystko

wytłumaczyć? Ta w innym wypadku bez znaczenia miłostka jego kawalerskiego życia, u Oli nabierze wielkiego znaczenia po tem, co usłyszała od Burleckiego.

Ola patrzyła na męża oczami, w których błyskała nienawiść. Ta przesadnie kochająca męża kobieta, która dotychczas dzięki jakiejś deformacji psychicznej perspektywy, uważała Bogdana za wzór mężczyzny, teraz, dowiedziawszy się o jego postępku wobec biednej dziewczyny, zmienawiła go. Dziwny instynkt kobiecy, solidarność płci, postawiła ją natychmiast po stronie tamtej, która była dawniej jej rywalką.

— Przeczytałem, co pisze ta, której śmierci ty jesteś winien! — rzekła nieomal szeptem, który przypomniał szczenię.

— Nie jest moją ofiarą — wybuchnął Bogdan. Nie wiesz, jak było! Olu, uspokój się, nie bądź dzieckiem! — starał się uspokajać swoją żonę, sam nie wierząc w powodzenie.

„Bogdanie! — czytała Ola, — opuściłeś mnie, by się ożenić z bogatą, piękną kobietą. Życzę ci szczęścia, bo sama go nie zaznałam na świecie, ale wiedz, że postąpiłeś podle, że nie zaopiekowałeś się mną, choć mogłeś to uczynić, że odebrałeś mi resztkę wiary w ludzi. Lży moje zaciągają na twojem życiu, chociaż życzę ci powodzenia. Ale Bóg jest sprawiedliwy, los się zemści. Twoja Kasia“.

Pani Ola zmiała gwałtownym ruchem list.

— Ja się zemszczę za nią! — krzyknęła histerycznie. Kłamałeś mi, że masz dobre serce. Jesteś podły. Ją rzuciłeś dla interesu, bo mnie nigdy nie kochałeś. Imnie byś rzucił, gdyby się lepsza nawinęła teraz par-tja. — Wstała i poszła w stronę hotelu.

Nie spostrzegł wcale, że plaża opustoszała i że zrobiło się już ciemno. Naokoło błyszczało parę lamp, zawieszonych wśród bujnej zieleni. Zdała widoczna była jedna z sal kasyna, w której migały sylwetki pań w wieczorowych toaletach i panów w frakach.

Spojrzał ku niebu: ciemne, ciężkie obłoki przewijały się po nim, tworząc fantastyczne figury. Chłodny wiatr powiał od morza, zwiastując niepokody.

— Za chwilę będzie burza, — rzekł prawie głośno Bogdan i ciężko wstał z krzesła.

Bez
płynu
TARR
Ceny flakonów
zł. 2, 3.50, 6 i 12
golenie jest połowiczne

TARR ZAPOBIEGA ZAOGNIENIU, ZAKAZENIU I PRĘŻENIU SKÓRY

SCHERK



KWIATY U STÓP HIMALAJÓW

Uroda niewieścia w starożytnych Indjach była i jest bezcennym, a jedynym niemal skarbem każdej Hinduski. Kulturowana z pietyzmem, podnoszona sztucznie przez mistrzowską niemal umiejętność *maquillage'u*, przez malowniczy strój narodowy — przyczyniała się, jakże często, do ulżenia smętnej doli niewolnicy z haremu, która na przestrzeni tylu wieków pozbawiona była... „duszy i wszelkich praw ludzkich“.

Gdy się zapozna bliżej ze wspaniałą mitologią hinduską, z nieprzeliczonymi klechdami i podaniami, które wciąż żyją wśród ludów półwyspu hindostańskiego — zaskądzi przedewszystkiem ogromna ilość bogiń, park, dobrych wrózek na parnasie bóstw Hindostanu. Ich wielorakie cnoty moralne, zalety umysłu i serca, a wreszcie czar niewieści i uroda opiewane są podziem dzisiaj. Weźmy pierwsze z brzegu — oto najbardziej osławiona Sita, słodka, a uroczą żona bohatera narodowego, króla Ramy (z „Ramajady“), prawzór cnót niewieściech na półwyspie; oto głośna z rozumu i urody Savitri, hinduska Alcestris, albo urwodzielska i powabna Parwatti, żona pięciu braci rycerzy-bohaterów Pandew i t. d. Opisy ich urody i królewskich szat zajmują nie mało miejsca w kronikach mitologicznych Indyj. Poeci i guślarze, wysławiając piękność swoich rodaczek, podnosili przedewszystkiem urodę oczu, „skrzępiących się miliardem ognia, czarnych jak noc, łzawych i tęsknych“, ale żaden zapewne nie domyślał się, ile starania i uwagi poświęcała i poświęca dziś każda bez wyjątku Hinduska, aby oczy swe upodobnić do „gwiazd na niebie“, aby w nich mogła się odbijać, jak w zwierciadle — dusza.

Obyczaj czernienia oczu rośliną *kohlem*, malowania rzęs i brwi — jest tak stary na półwyspie, jak same Indie i nie zniknie chyba nigdy. Co więcej, zapobiegliwie matki czernią oczy swym niemowlętom, aby w zaraniu życia słynęły w osiedlu, czy bodaj wśród swoich, w klanie, z odziedziczonych po niej pięknych żreń. W każdym też babinu przechowuje się z pokolenia na pokolenie, jak testament wiary, litania przepisów i recept na przyrządzanie nieprzeliczonych balsamów i kremów.

Dotychczas istnieje też w Indjach już nie obyczaj, a raczej nakaz kreślenia na czołach czerwoną farbą sandalową kabalistycznych znaków kastowych — *groszków* i linii poziomych. Hinduski uważają je nie tylko za oznakę przynależności do wyższej kasty, (z czego oczywiście, są dumne; parjasi znaków kastowych nie noszą), lecz i za „znak urody“. Kobiety zamężne, zwłaszcza w Bengalu, prócz znaków powyższych kreślą jeszcze na czole specjalne kreski *ja-skrawo-czerwone*, na znak swego stanu *cywilnego*.

A teraz bodaj słów parę o biżuterji.

Do najszedziwszych, niemal prehistorycznych czasów sięgających ozdób, za którymi przepadały wszystkie prawie bez wyjątku azjatki, były i są *zausznice*. Kute z najrozmaitszych metalów, wysadzane szlachetnymi i pół szlachetnymi kamieniami, fantastycznych fasonów, długie, sięgające niemal ramion. Wspomina się zresztą o nich w starożytnym Egipcie, w Chinach, w Japonji, a jeszcze dawniej w Babilonie i Assyrii. Kobiety Wschodu przepadały zawsze za tem



Młoda Hinduska przy porannej toalecie.

upiększeniem, jak również za *bangalesami* (bransoletami), które Hinduski noszą całemi tuzinami nie tylko na rękach, lecz i nogach. I co najdziwniejsze, nie rozstają się z tym sklepikiem ruchomego dobra nigdy: ani za dnia, ani w nocy. Mam tu na myśli kobiety z ludu. Mają one specjalną pasję do ozdób i zazdrośnie je strzegą. Noszą *napierśniki*, *naramienniki*, obręcze na szyję, brosze, pierścienie na palcach u rąk i nóg, nie rzadko koła złote lub srebrne w nosach i wargach.

Hindusi, jak wszystkie ludy *wchodnie*, słyną z dwóch charakterystycznych cech: *zamiłowania do błyskotek*, (zarówno kobiety, jak i mężczyźni!) oraz *panicznego lęku przed mocami sił nadprzyrodzonych*. Dwie te zalety, czy wady azjatów, jak kto chce, dają się uzależnić jedna od drugiej. Badanie *sanskrytu*, *podan* i *legend religijnych* dało nieoczekiwane wyjaśnienie, że wszyst-

Charakterystyczną cechą Hindusok jest upodobanie w klejnotach i, mistrzowskim zresztą, malowaniu twarzy. Znak na czole określa przynależność do wyższej kasty.



kie kobiety Wschodu dlatego tak obwieszały się nieprzeliczonymi blaskami, kamieniami i t. d., aby zabezpieczyć swe głowy, ramiona, nogi, biodra, piersi, dłonie i stopy, wreszcie uszy, czoła i nosy przed zgubnym działaniem szatana. Amulety zaś już wyraźnie miały zapobiec wszelkim zakusom złych duchów, a nakładane dzieciom od urodzenia, nie dopuszczały czarciego wysłannika do kolebki. Przytem, wiadomem było od wieków, że *korale*, *topazy*, *diamenty*, *safiry*, *rubiny*, *szmaragdy* i *karbunkuly* miały pod tym względem sławę pewną i wypróbowaną wielokrotnie. Zabobonne niewiasty hinduskie do dnia dzisiejszego zawieszają dzieciom okruszynę bodaj *agatu*, wiedząc, że działanie jego neutralizuje ukąszenie wszelkiego gada, zwłaszcza *żmij* jadowitych; *korale* — *dopomocze skutecznie*, by dziecko wyrosło zdrowo i miało mocny, odżywczy sen; a *diament* w najmniejszym nawet okruschu — *zabija wszelką gorączkę*. *Opale*, który *kuruje doskonałe malarję*, nie powinien być noszony przez młode dziewczyny i mężatki, przynosi bowiem wiele niepowodzeń w sprawach miłości.

A teraz przejdźmy do opisu kolorowej, fantastycznie pięknej narodowej sukni Hinduski! Nosi ona dotychczas *sanskrycką nazwę* — *sari*. Składa się z jednego szerokiego i bardzo długiego kawałka materiału (7—9 jardów długości), z jedwabiu, muslinu, białego lnianego płótna, obramowanego bogatym ręcznym lub zwyczajnym, maszynowym szlakiem. *Sari* — owija się dokoła całej postaci kobiety, jeden koniec puszcza się wolno na nogi, drugi, suto zahaftowany, zarzuca się na głowę. Na lewym ramieniu suknia hinduska spięta jest *agrafą* lub *kłamarą* z różnokolorowych kamieni. Zresztą sposobów noszenia jest tyle, ile dzielnic i kast. Na całość toalety *elegancki* *wschodniej* z ludu, czy towarzysztwa — składają się przepiękne *sandałki złote* lub *haftowane*, (pończoch używają tylko Hinduski *zeuropeizowane*), *stancieczek* z krótkimi *rękawami*, lub *poprostu napierśniki*, no, i nieprzeliczona ilość *świecidełek*.

Przeciętnie *sari* z krajowego jedwabiu należy można na pierwszym lepszym bazarze za 4—5 rupij (8—10 zł.). Z przepięknych płócien samodziślowych, czy muslinu, — o połowę taniej. Oczywiście, są to *sari* najbardziej rozpowszechnione wśród mieszkanki wsi i miasteczek. W miarę zamożności wzrasta koszt sukni narodowej. *Brokat*, *aksamit*, *prawdziwe koronki*, *bogate hafty*, *szlaki* ze złotych lub srebrnych nici.

Hinduski noszą tę suknię z nieporównanym wdziękiem. A gdyby nawet wracały z Europy, ze studjów, nawykłe do stroju europejskiego, u siebie, w kraju — wrócić niechybnie do *sari* i *sandałów* na bosc stopy. Czynią to nie tylko przez dumę narodową, lecz dlatego, iż w żadnym innym stroju *córa Hindostanu* nie czuje się bardziej sobą ze swoją *ciemną twarzą*, *hebanowemi włosami* (które myje często w koziem mleku, aby nie czerniały i *namaszcza* *wonnemi olejkami*), i *oczami*, jak *węgiel*! *Ruchem atawistycznej płochliwości* zasłania sobie często pół twarzy *zahaftowanym* końcem *sari*, nawet wówczas, gdy już nie

Dokończenie na str. 31-ej.

USTA DECYDUJĄ o indywidualności urody

Kanony klasycznej piękności wymagały, aby usta były bardzo małe, tak, aby wargi odsłaniały tylko sześć zębów. W epokach późniejszych coraz to inne wymagania stawiał kult piękności kobiecej twarzy. Dziś moda narzuca typy urody, wzorowane na słynnych gwiazdach filmowych, a posłuszne temu kobiety idą najczęściej ślepo w lansowanym w danej chwili kierunku. Niech tylko któregoś dnia padnie hasło szerokich, silnie karminowych warg, a na jutro ujrzemy ich tysiące na ulicach nie tylko największych miast, ale i tak zwanej prowincji.

Ale spojrzymy na usta spotykanych kobiet uważniej, a przekonamy się, że każda z nich posiada w ustach jakiś indywidualny rys, co decyduje nieraz o całym wyglądzie i uroku twarzy. Czy nie jest nonsensem szablonowanie wszystkich ust i wszystkich twarzy kobiecych?

Zacieranie indywidualnych cech urody i tworzenie naśladownictwa paru uprzywilejowanych niewiadomo dlaczego typów jest nonsensem. W mocy każdej z nas jest zerwanie z tą manierą i podkreślenie charakteru twarzy przez indywidualny rysunek ust. Rysunek, gdyż przeważna ilość kobiet stosuje zasady makijażu i używa kredki do ust, czy płynnego karminu.

Aby nie popełnić przytem rażących błędów, które mszczą się na urodzie pięknej pani, a często narażają ją na śmieszność, czy drwiny, trzeba i tę sprawę kosmetyczną przestudjować głębiej i traktować usta z całą znajomością arkanów makijażu.

A więc zacznijmy od przygotowania ust do nałożenia kredki. Jak całą twarz, tak i usta trzeba lekko natłuścić kremem, przypudrować, a dopiero wtedy wziąć kredkę do rąk. Jeżeli usta są duże o szerokich wargach, stosujemy róż ku pomniejszeniu konturu warg tak na długość, jak i na ich szerokość. Aby zwęzić szerokie wargi małych



Sprawdzenie ma-
quillage'u warg
należy do najbar-
dziej charaktery-
stycznych czyn-
ności pięknej pa-
ni.

Fot. Wide World
Londyn.



Od lewej: Przed nałożeniem różu na wargi należy je natłuścić odpowiednim kremem. — Po natłuszczeniu i napudrowaniu warg, róż trzyma się idealnie. — Przygryzanie warg powoduje szybsze krążenie krwi i czyni je czerwionczymi. — Układanie warg jak podczas gwizdania działa wzmacniająco na delikatną skórę.

Fot. Anders — Paryż.

ust, wykończamy je kredką dokładnie aż do kącików warg, a natomiast zwięzamy je nieco. Małe usta i zbyt wąskie wargi można lekko powiększyć rysunkiem kredką, również, jak można skrócić nieco ich linję, skoro wargi są wąskie, usta zbyt szerokie.

Równie ważny jak rysunek ust jest dobór koloru różu do warg. I tu najlepszym doradcą samą dla siebie będzie każda z pań. Zamiast hołdować kaprysom mody i zmieniać kolor warg wedle jej woli, najlepiej dobierać róż do odcienia swych warg, pamiętając, aby harmonizował z policzkami, a nawet z kolorem włosów i oczu.

Brunetki o smagłej cerze i ciemnych

oczach powinny dobierać odcień różu w tonie fioletowym. Blondynki o cerze złotawej mogą używać odcieni szkarłatnych, natomiast szatynki, o jasnej cerze, oczach niebieskich lub zielonych, najlepiej zrobią poszukując odcieni żółtawych. To samo rude blondynki.

Oczywiście są to tylko wskazania najbardziej ogólnikowe. Chcąc wybrać sobie odcień najodpowiedniejszy, trzeba przestudjować kilka próbek, pamiętając, że w dzień, jak cały makijaż, tak i usta, muszą być robione jak najdyskretniej, gdy wieczorem, przy silniejszym zwłaszcza świetle elektrycznym, można nieco tony wzmocnić.

Paniom, które unikają wogóle różu do warg, możemy wskazać stare, lecz niemniej skuteczne recepty konserwowania piękności ust. Składanie ust jak przy gwizdaniu działa wzmacniająco na delikatną ich skórę, przeciwdziałając równocześnie tworzeniu się zmarszczek wokół ust. Przygryzanie warg zębami przy zamkniętych ustach przyspiesza w nich obieg krwi i od razu nadaje im żywy blask.

Oczywiście, że te zabiegi mogą być stosowane przez wszystkie panie, a skutek ich będzie tem pewniejszy, im więcej wytrwałości mieć będziemy w ich wykonywaniu.

Elwira.

Korpus dyplomatyczny stołecznego miasta stanowi zazwyczaj zamknięte w sobie kółko towarzyskie, znajdujące się u szczytów t. zw. high-life'u. Nie jest jednak „szczelnie” odseparowane od krajowej „śmietanki towarzyskiej”. Te dwie sfery razem tworzą dopiero „elitę” stołeczną, o której się mówi i którą się podziwia. Ten świat miewa jednak również swoje atrakcje specjalne. Ale tu nie jest łatwo się wyróżnić: więc albo wyjątkową urodą, albo oryginalnością, albo gustem strojów, albo jakimś już „hyper-bogactwem”.

Nie jest jednakże korpus dyplomatyczny czemś stałym. Niema miesiąca, by ktoś nie ubył lub nie przybył. To jest częściowo przykre, bo traci się niekiedy miłych przyjaciół, z którymi już można było się zżyć, ma jednak też swe atrakcje, bo poznaje się coraz to nowsze osoby, przybywające czasami z bardzo daleka, owiane technieniem szerokiego świata, co samo nadaje im pewnego nimb. Nowicjuszy wszakże dość trudno zdobyć sobie „tubylców”, to jest już bardziej „zasiedziały” cudzoziemców, no i nie zawsze łatwo pozyskać autochtonów, choć trzeba przyznać, że naogół nie grzeszemy ksenofobią (na szczęście) lub nieufnością wobec nowych gości naszego kraju, których do nas przysyła służba dyplomatyczna.

Już dawno nie stała się tak szybko ośrodkiem zainteresowania, a wkrótce i sympatii żadna z pań warszawskiego korpusu dyplomatycznego, jak pani pułkownikowa Marie-Claude Arbitre, małżonka attaché lotniczego ambasady francuskiej. Posiada wszystkie wyżej wymienione warunki „atrakcyjności”. Odrzucała uwagę na siebie swoją frapującą urodą „platynowej” blondynki (ten kolor włosów znów zdobył sobie na świecie miano najmodniejszego), wyszukany gustem strojów i wielką ich różnorodnością, wreszcie nie tylko pięknym samochodem, (bo o to w korpusie dyplomatycznym nie trudno), ale i własnym... samolotem...

GWIAZDY WARSZAWSKIEGO „BEAU MONDE”

PANI PUŁKOWNIKOWA MARIE-CLAUDE ARBITRE

Pani Marie-Claude Arbitre.

Nie przypisujemy wszakże sympatii, jakie zdobyła sobie jasnowłosa pani cechom jedynie zewnętrznym. Jej najcenniejszą zaletą jest uosobienie „paryskości” w najlepszym tego słowa znaczeniu. I znów nie tylko dlatego, że pełna jest wdzięku i specyficznego paryskiego uroku i smaku. Jej „parisianisme” polega przede wszystkim na szeregu zalet, które trzeba koniecznie wymienić po francusku. Bo jakże przetłumaczyć bez reszty błyskotliwy „esprit” pani pułkownikowej, łowność jej ujmującego „langage” i rozbijająca „façon de parler”, połyskująca perełkami równie oryginalnych, jak trafnych i dowcipnych epitetów? Jej „ripostes” czy to na przesadny komplement, czy na choćby najłżejszy docinek kogoś, zazdroścącego jej zdobytego sukcesu towarzyskiego — przeszywają, jak ostrze szpady lub jak... szpilka entomologa, przekuwającego skrzętnie zdobyty okaz motyla...

To też jeżeli rozkoszają jest już



Attaché lotniczy ambasady francuskiej w Warszawie płk. Andre Arbitre i jego małżonka są zapalonymi adeptami awiacji...



...lecz również kierowanie pięknym samochodem jest ulubionym zajęciem pani Arbitre.

samo spoglądanie na panią pułkownikową, to rozmowa z nią, żonglująca „smakowitami” powiedzonkami, jest prawdziwą ucztą...

A jaka gościnną i utalentowaną z niej pani domu! — Jej przyjęcia są bardzo „stylés”, w czym nie mało pomagają jej piękne salony przy ul. Senackiej Nr. 10. Ciekawe, że ten Nr. 10 jest na „calej” ulicy Senackiej jedyny! Niema narazie innych domów na tej „ulicy”, będącej do niedawna jeszcze małą ścieżynką w przesłicznym parku Frascati, gdzie dziś stanął monumentalny gmach ambasady francuskiej, a dokoła niego już cała dzielnica.

Pięknie i przytulnie jest w apartamentach państwa pułkownikostwa. Zdobią je, zwłaszcza, bezcenne okazy tkanin i bibelotów chińskich. Poprzednie bowiem stanowisko pana pułkownika wymagało dwu i półletniego pobytu w Chinach.

— Bardzo tam było przyjemnie — opowiada mi pani pułkownikowa — ale do czasu. Im bardziej się nasz pobyt tam przedłużał, tem bardziej mnie nużył. Ludzie smażą się tam we własnym sosie „białej kolonii”. Miałam, co prawda, do Chin sentyment, bo w graniczących z niemi Indochinach francuskich, poznałam mego obecnego męża.

— A pani sama jest chyba Paryżanką? — Owszem, ale... nie z urodzenia. Ujrzałam światło dzienne w Burgundji...

Chciałabym powiedzieć, że to znać, bo tylko ojczyzna winna może rodzić tyle finezyjnego animuszu, jakim odznacza się pani Arbitre. Ale w obawie, by nie być skarconym za może nieudany komplement, wolałam jedynie zadać banalne pytanie:

— Jak się pani czuje w naszym kraju?

— Nie wyobrażałam sobie, abym tak szybko oswoiła się z Polską i jej społeczeństwem. Czuję się tu, jak u siebie, może nawet niekiedy jeszcze milej. Tak umiecie do siebie

Dokończenie na str. 31-ej.

Na prawo: Ulubionem przybraniem letnich kapeluszy są w bieżącym roku pęki kwiatów: białe konwalie stanowią z ciemną słomką kapelusza estetyczny kontrast. Fot. Dorvynne.

W tegoroczna moda letnia specjalny nacisk kładzie na przybranie głowy. Niepowrotnym wydaje się okres, gdy sztywną sylwetkę dopełniała główka bezpretensjonalnie strzyżona à la garçonne i szablonowy filcowy „kłoszyk”. Skromny kostium z tafty, shantungu czy nawet płótna — prosta w kroju sukienka popołudniowa z wzorzystej krepy — bezpretensjonalna wieczorowa toaleta z organdy, batysty haftowanego czy gazy — każdy z tych strojów uzupełniony być musi kunsztowną fryzurą w loki i kapeluszem o starannie wystudjowanej linii i rafinowanym przybraniu z kwiatów, wstążek, skrzydeł ptasich lub oryginalnie upiętej wualki.

Różnorodność form jest niemal niewyczerpana: obok męskich surowych filców noszonych do kostiumu czy płaszcza trotteur, widzimy fantazyjne toczki i turbany z wstążek i kwiatów, często ażurowo plecione tak, że włosy pozostają widoczne. Obok stylowych budek wiązanych lub spinanych pod brodą, modne są duże „pasterki” z florentyńskiej słomy, zgrabne i bardzo „młode” marynarki — o dość dużym i prostym rondzie, fantazyjnie odwołujące nad czołem kapelusze „meksykańskie”, przypominające sombrero cow-boyów i „bregentyńskich gauchów i dziewczęce, skromne „branki” z naturalnej słomki. Kapelusz popołudniowy — to już nie nakrycie głowy, lecz kreacja.



Oryginalny kapelusz ze słomki, przybrany fantazyjnie wstążką rypsową. Fot. Mundi, Amsterdam.

Wystudjowana linia ronda, jasne i żywe barwy, pomysłowość i różnorodność przybrań — oto ich charakterystyczne cechy.

A na wieczór? Na miejsce wieczorowego kapelusza przez nasze habki „stroików”. Koronka, tiul, aksamitki i wstążki, kwiaty, liście, pióra, rinsze i kokardy — wszystko jest dopuszczalne, byle zdobiło główkę właścicielki i byle harmonizowało z toaletą. Są to lekkie upięcia, piętujące się raz wysoko na czubku głowy, drugi raz opadające na czoło, to znów przesunięte na obok. Do sukni wieczorowej noszonej do teatru, na koncert, w kasynie lub modnej restauracji te fantazyjne kreacje zastępują kapelusze, nie zakrywając jednak włosów i ściśle harmonizując z fryzurą.

Do takiego przybrania głowy dobiera się również inne akcesoria wieczorowego stroju. Gdy we włosach wiąże się wąską czarną aksamitką spiętą nad czołem pękiem drobnych róż, za-

Dokończenie na str. 31-ej.

Na lewo: Strojne wieczorowe przybranie głowy z upiętymi kwiatami i tiulami. Fot. Dorvynne.



LETNIE MODELE KAPELUSZY - 1938

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka —
obliczone na 3-4 osoby.

KALAFJOR W BIAŁYM SOSIE. Z łyżki masła i tyleż maki sporządza się zasmażkę zupełnie jasną, zalewa łyżką mleka, zagotowuje i zaprawia solą, białym pieprzem, kilku łyżkami kwaśnej śmietany. O ile sos okaże się za gęsty, rozprawić go można wodą, w której kalafjor się ugotował. Kalafjor podzielony na drobne części wkłada się do sosu, zagotowuje i wydaje z krokietkami z bułki, ziemniaczkami lub ryżem.

KALAREPKA NA KWAŚNO. Dokładnie obraną kalarepkę szatkuje się drobno, parzy wrzącą wodą, odciedza i dusi następnie na maśle z cebulką i kminem. Miękką jarzynę zaprawia się octem lub sokiem cytrynowym, cukrem i solą oraz zagęszcza zasmażką. Kolor nadaje się karmelem, sporządzonym z kostki cukru, zrumienionego na ogniu i zalanego łyżką zimnej wody. Kalarepka, w ten sposób przyrządzona, ma smak duszonej kapusty, jest jednak delikatniejsza i łatwiej strawna.

JAJA NA MUSZELKACH. W płaskim rondlu zagotowuje się wodę osoloną z łyżką octu. Na gotującą się wodę wybijają się ostrożnie świeże jaja, zbierając łyżeczką rozpluwające się białko wokół żółtka. Po trzech minutach wyjmują się jaja dziurkowaną łyżką i układają na muszelkach, posmarowanych masłem i wysypanych bułeczką. Jaja pokryć można grzybkami na gęsto uduszone lub posypać tylko grubo parmezanem, skropić masłem i zapiec przez kilka minut w gorącym piecyku. Potrawę tę podaje się na przystawkę.

RYŻ Z GROSZKIEM. 5 dkg masła rozpuszcza się w ryndze i wssypuje na nie filiżankę ryżu, nie płukanego, lecz dokładnie wytartego w czystej ściereczce. Ryż praży się na ogniu, aż nabierze złotawego koloru, wtedy zalewa się go 2 i pół filiżankami gorącej wody, miesza po dodaniu łyżeczki soli i gotuje na sypko. Najlepiej skutecznia się to w skrzynce samowarku, o której parę razy wspominałam, a której opis i sposób użycia podany był w dodatku kobiecym IKC z dnia 30. VI. b. r. Nr. 178. Osobno dusi się na maśle filiżankę zielonego groszku, dolewając skapo wodą lub rosółem. Z groszkiem tym miesza się ugotowany na sypko ryż i podaje polany rumianem masłem.

BUDYN SEROWY W SERWECIE. 50 dkg sera twarogu tak miękki, aby się dał rozetrzeć, uciera się z 4 jajami, 7 dkg masła, małą łyżeczką soli i 8 dkg gryśki pszennej. Masę tę odstawia się na parę godzin, aby grysik napęczniał. Najpraktyczniej będzie zalać to rano przy sporządzaniu śniadania. Na pół godziny przed obiadem formuje się masę w kulę, wkłada ją na środek zwilżonej wodą serwetki, związuje końce, zawieszając na trzonku łyżki drewnianej, którą się opiera na brzegach dużego garnka z gotującą osoloną wodą, tak, aby serwetka ze swą zawartością luźno w wodzie pływała. Po 30 minutach wyrzuca się budyń z serwetki na półmisek, kraje w plastry i polewa rumianem masłem z bułeczką. Dla amatorów słodkich legumin podać można do budyń soku owocowego lub kompot z trzciną.

KAPŁON NA DZIKO. Oczyszczono i wymytego kapłona szpikuje się młodą słoniną, polewa bajcem nagotowanym z słabego octu z korzeniami. W bajcu pozostawia kapłona przez 24 godziny. Wyjętego z bajcu ptaka piecze się przez 1½—2 godzin przy pilnym polewaniu masłem. Sos z pod pieczystego zaprawia się kilkoma łyżkami śmietany, rozkluconej z łyżeczką maki i troszką bajcu, dodaje łyżkę kaparów lub trochę pasty sardelowej, zagotowuje i podaje osobno w sosie.

KRUCHE CIASTO NA PLACKI Z OWOCAMI. 28 dkg maki i 20 dkg masła rozciera się razem na sypką kaszę. Do tak rozrartego masła z mąką dodaje się 1 całe jaję i 1 żółtko, pół łyżeczki soli, 6 dkg cukru pudru, skórkę otartą z cytryny i 2—3 łyżek śmietany, t. j. tyle, aby się utworzyło tegie ciasto. Walkiem (nie rękami) wygniata się ciasto, przewalając je kilka razy, aż będzie zupełnie gładkie. Po każdorazowym walkowaniu należy ciasto odłożyć w chłodne miejsce na pół godziny. Ostatecznie formuje się z ciasta placek grubości grzbietu noża, układa na blaszce, posypuje tartą bułką i przygotowanymi owocami, zawija brzegi do środka, tak, aby sok wydzielający się z owoców nie wypływał, posypuje cukrem i piecze w dość gorącym piecyku. Po upieczeniu i wystudzeniu kraje się placek w kwadraty wielkości dłoni i wyjmuje kawałkami na półmisek. (W całości wyjęte ciasto pokruszyłoby się, chyba że upieczono je w tortownicy).

MARIENBADZKI TORT PORZECZKOWY. 14 dkg masła uciera się na pianę, dodaje po łyżce 20 dkg mączki kukurzy i 6 żółtek po jednym przy ciągłym ucieraniu. Cała czynność ucierania powinna trwać pół godziny. W końcu dodaje się pianę z 6 białek i 12 dkg tartej bułki, przesianej przez sito. Masę napelnia się formę tortową masłem natartą i sypką mąką wysypaną. 25 dkg porzeczek obiera się z szypulek i osypuje lekko mąką tartą bułką, poczem nakłada je łyżką równo na ciasto. Tort piecze się w wolnym piecu przez godzinę. Upieczony i przestudzony tort odwraca się na sito, na którym wystygnie zupełnie. Do tortu tego podaje się bitą śmietanę (kremówkę).

Sc. Ko.








PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWYM



Wyjeżdżając na wakacje należy zabezpieczyć wszystkie welniane części garderoby znajdujące się w szafach, gdyż nasi odwieczni wrogowie — mole nie pozostawią ich w spokoju. Skrzętne gospodynie nie marnujące niczego w domu znajdą napewno trochę wysuszonych skórerek pomarańczowych, których zapach odstrasza mole. Skórki te wieszają się na wieszakach w szafie w małych tiulowych woreczkach. Zamiast skórerek pomarańczowych można też użyć np. gałązki leśnego rozmarynu, sprzedawanego na targach większych miast.

7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 30		Lipiec	
		31 dni	
NIEDZIELA	17		Kalafior w białym sosie w miejsce zupy. Jaja na muszelkach. Kapłon na dziko z makaronem. Marienbadzki tort porzeczkowy. Kolacja: Wędlina z misztardą.
	Aleksego		
PONIEDZ.	18		Zupa kalafiorowa z lanem ciastem. Ryż z groszkiem. Kurczę w papryce z kluseczkami. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Jaja w szarym sosie na zimno.
	Szymona z Lip.		
WTOREK	19		Rosół z młodymi jarzynkami. Sztuka mięsa z sosem jajecznym i szczypiorkowym. Wątróbka cieleca szpikowana pieczona w całości, z mizerją. Kompot mieszany. Kolacja: Kasza tatarska z kefirem.
	Wincentego		
ŚRODA	20		Chłodnik owocowy z grzankami. Budyń serowy z masłem. Kaczka pieczona z kalarepką na kwaśno. Placek kruchy z owocami. Kolacja: Omlety z grzybkami.
	Czesława		
CZWARTEK	21		Zupa jarzynowa purée na mięsie z płatkami. Kalafior w sznycelkach. Polędwica wołowa po angielsku z garniturem jarzyn. Pianka poziomkowa z waflami. Kolacja: Budyń z mięsa wołowego.
	Praksedy		
PIĄTEK	22		Zupa śmietanowa na perłowie. Marchewka z groszkiem i krokietkami z bułki. Karp w galarecie. Strudel z wiśniami. Kolacja: Ryba marynowana lub grzybki.
	Marii Magdal.		
SOBOTA	23		Zupa ryżowa. Faszerowana kalarepka. Gulasz debreczyński. Buraczki z śmietaną. Placek z borówkami. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.
	Apolinarego		

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania Nru z 28-go.

ŚMIESZNY POMYSŁ STASIA.

22 minuty.

KRZYŻYKÓWKA.

Poziomo: 1. kogut, 2. pyton, 3. gil, 4. tygrys, 5. obrona, 6. śpia, 7. ów, 8. reda, 9. ta, 10. lada, 11. rana, 12. cap, 13. ar, 14. Dekan, 15. Irena, 16. as, 17. bo, 18. ort, 19. sonda, 20. efeb, 21. Wanda, 22. kopra, 23. Dania, 24. murt, 25. amant, 26. zorza, 27. to, 28. Rodan, 29. borsuk, 30. on, 31. Circe.

Pionowo: 1. koala, 2. komar, 3. Erato, 4. moc, 5. ogród, 6. waadi, 7. owad, 8. sunna, 9. ul, 10. ebonit, 11. anakonda, 12. ba, 13. ranka, 14. nora, 15. ogier, 16. kurs, 17. trąd, 18. Noe, 19. rzut, 20. cec, 21. ptak, 22. psota, 23. tok, 24. okapi, 25. bałon.

WĘDRÓWKA SLIMAKA.

We czwartek o 6 rano był w odległości 40 cm od szczytu, na który wydostał się o g. 10.48. Potem już posuwał się z szybkością 100+30 cm dziennie, tak, że na ziemi znalazł się w sobotę o 9.36.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KWIECIEŃ I MAJ.

Kwiecień pisze do Maja: „Bardzo Ci mój kochany dziękuję za pieniądzel! Całą tę sumę podzieliłem równo między moich chłopców z tym jednak warunkiem, by każdy z nich wszystkie pieniądze wydał na prezenty dla sióstr. Każdy z nich kupił jakiś drobiazg dla każdej z dziewcząt. Wszyscy chłopcy wydali swe pieniądze w „barze złotówkowym” — wiesz chyba bowiem, że w naszym miasteczku mamy wielki bazar, w którym w jednym z kiosków wszystkie przedmioty

kosztują po jednym złotym, w innym tylko po 2 zł. itd.

To zabawny zbieg okoliczności, że żaden z chłopców nie kupił dwóch prezentów w tym samym kiosku i że każdy z nich kupował w innym zestawieniu kiosków. Przypuszczałem, że jest to niemożliwe, jednak Wtorek udowodnił mi możliwość takiego wypadku”.

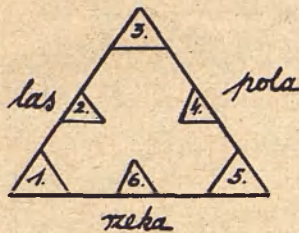
Ile dzieci miał Kwiecień?

TRZY LICZBY.

Proponujemy Czytelnikom znaleźć trzy takie liczby, które dodane do siebie lub też pomnożone przez siebie, dają ten sam wynik?

OBRONA FORTECY.

Komendant fortu posiadał silną załogę i rozmieścił ją tak, że w każdej baszcie



znajdowała się równa ilość wojska. Jakież było zdziwienie wrogów, gdy następnego dnia po bitwie, w której zabito 15 obrońców każdej strony broniło tyle samo żołnierzy. Na trzeci dzień po takim samym wyniku walki, wróg zaprzestał ataku od strony rzeki, lecz o dziwo, każdej ze zagrożonych

stron broniło jeszcze o 10 żołnierzy więcej!

W drugim dniu baszt wewnętrznych broniło po 20 osób; jak więc rozmieszczał swą załogę dowódca?

Bywalec hotelowy w więzieniu.



„Esquire”.

Dokończenie ze str. 8-oj.

Voltaire'a w połowie XVIII wieku (1755) aktorzy Lenain i Clairon grają mandarynów w strojach polskich! Znow w tragediach klasyków Król Fernand w „Cydzie”, Cesarz August w „Cynnie” lub Kapłan Joad w „Atalie” będą z godnością występować w perukach.

Bezimienna komedia francuska dała późniejszym komedjo-pisarzom pewne zhieryzowane postacie o cechach, które współczesny psycholog potrafi sklasyfikować. — Będzie więc typowy służący (Maskaryl, Sganerel, Skapen, Kasper) rodzajem „hypomanjaka-pyknika” według nomenklatury Kretschmera. Il Capitano, Kapitan Fracasse, to niewątpliwi sangwinicy. Ze starych sztychów Pantalón, Poliszynel, Signor Dottore Basilio, ukazują nam swe typowe zniekształcenia budowy i ruchy schizofreniczne. A melancholiczni Pierrot i Kolombina!

Całe panoptikum psychopatologiczne przewija się w komedjach Moliera od Skapca, przez Chorego z urojenia, Pana Jourdaina do „Tu l'as voulu George Dandin!”

Już późno. Zegary St. Etienne du Mont dzwonią północ. Wracam wśród zgiełku aut do hotelu. Widzę jeszcze przejeżdżące dzieci, dla których jakiś wielki magazyn „Au bon Marché” urządził teatr marionetek na ulicy, z okazji wyprzedaży. Biorą udział w bohaterkich iluzjach, Guignol rozpalil ich policzki i krzyczą przejęte jak gdyby dawny teatr wrócił, a ponad dachami nie świeciły reklamy na wieży Eiffla.

Dokończenie ze str. 26-oj.

nosi autentycznej zasłony na twarzy — pardah.

Suknię tę nosiły Hinduski od niepamiętnych czasów, a początek swój bierze zapewne od szali i długich welonów, w które

owijały się prababki dzisiejszych cór Indyi. Za czasów panowania wielkich Mogolów na półwyspie od 11-go do 17-go stulecia, narodowa sukienka niewieściana doszła do fantastycznego bogactwa, zwłaszcza przy dworach cesarskich. Hinduski wysoko urodzone nosiły wówczas sari ze słynnego Decca-muślinu, który był tak cienki, że opływał dokoła postaci niewieściej, jak „obłok mgły”, a przyrównywany był przez poetów do... „utkanego powietrza”, do „przezroczystego, kryształowego wodospadu źródlanej wody”! Znany był fakt, że gdy jeden z wielkich Mogolów, król Shach Jehadżir czynił jednej ze swych cór wymówkę, że chodzi w biały dzień — prawie naga, odrzec miała ze skromną miną, że pani-matka nie daje jej więcej Decca muślinu na sari jak tyle, że może go złożyć tylko siedmiokrotnie!

Dziś delikatny ten, jak pajęczynka muślin wyszedł już prawie z obiegu, wobec spontanicznego rozrostu przemysłu jedwabniczego i bawełnianego, ale wyrafinowane eleganterki mogą go sobie zawsze kazać utkać na uroczystość ślubną. Nawet wielkie précieux'y hinduskie, które noszą już suknie wieczorowe od Wortha, czy Paquin, nawierzch wkładają sari z szyfonów albo muślinu wyrobu krajowego.

Hanna Skarbak-Peretiatkowicz.

Dokończenie ze str. 28-oj.

uspocić, macie tyle cennych zalet, że choć jestem tu niespełna rok dopiero, wydaje mi się, że mieszkam tu już lata i wcale nie chcę myśleć o tem, abym była zmuszona stąd kiedyś wyjeżdżać. Kraj wasz ma tyle uroczych zakątków! Właśnie wracam ze wsi. Byłam w Podhorcach, przecudnej majętności ks. Sanguszków. Jestem jeszcze wciąż pod wrażeniem tego, com widziałam...

A oto i mały spacerek samochodem, na który zaprasza pani Arbitre. Sama pro-

wadzi swój wspaniały wóz świeżo wprowadzony z Paryża. Jest to „rasowy” Renault typu „Viva Grand Sport” w ślicznym odcieniu „vert ondé”. Tuż w samochodzie — cała rodzina pani pułkownikowej: mąż — płk. André Arbitre, córeczka — Poucy i... ulubiony piesek, rasowy „scotch-terrier”. Jedziemy na lotnisko. Tu już czeka awionetka — elegancki „Caudron” typu „Simoun”. Na takim samym słynna Maryse Bastié przeleciała Atlantyk. Wewnątrz jest obity czerwoną skórą, nazwano ją pokryty srebrzystym połyskiem. Już wkrótce polecą nią pp. pułkownikostwo do Budapesztu... ma spacer. A na co czekają? Pani pułkownikowa nie skompletowała jeszcze swej garderoby, a sprawia ją sobie... w Warszawie. Uważa, że skoro mieszka w Warszawie, powinna również i tu się ubierać. Wystarczy niezrównany gust pani Arbitre, która sama rysuje wszystkie modele i je stwarza... Oto przykład, godny naśladowania.

H. L.

Dokończenie ze str. 29-oj.

miast bransoletki wiąże się na przegubie dłoni taką samą aksamitką z różami, których pęk zdobi również zamśzowy wieczorowy woreczek. Uroczą ozdobą włosów jest również jaskółka z piórek, o rozpiętych do lotu skrzydłach; wtedy podobną nosi się przypiętą na ramieniu zamiast kwiatów.

Dla młodszych panienek wykończa się stylowe suknie z tiulu czy organdy girlandą drobnych kwiatów upiętą wzdłuż wycięcia sukni i podobną girlandą zdobi się włosy.

Widzimy więc, że pojęcie nowoczesnego kapelusza jest bardzo rozciągłe: może być on zarówno prawdziwym „nakryciem głowy”, solidnym i praktycznym, jak fantazyjnym „poemacikiem” z tiulu, kwiatów, płatków czy koronki. Wybór jego typu zależy od pory dnia, od charakteru stroju, a przede wszystkim od wieku i typu urody danej kobiety.

Lady Like.

O tak! - to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...

NOWE KSIĄŻKI.

Pollatschek Stefan „Płomienie” (Wyd. „Myśl” we Lwowie). Jest to utwór osnuty na tle życia znanego malarza pochodzenia holenderskiego, van Gogha, który należał wraz z Gauguinem, Cezanne’em, Monetem, Renoirem, Degasem do nowatorów na gruncie Paryża.

Van Gogh początkowo nie mógł się zdecydować na wybór zawodu: chciał być pastorem, jak jego ojciec, potem próbował szczęścia jako kupiec, sprzedawca obrazów... nieustannie przeczucie się z jednego nastroju w drugi — musiało sprawić na niejednym wrażenie anormalności. Przyjaźń z Gauguinem, zakończona niesłychanym wyskokiem podrażnionego van Gogha (który w przypływie oburzenia obciął sobie jedno ucho) może być przykładem krańcowości w usposobieniu holenderskiego malarza.

Niezrozumienie, z jakim spotykał się ze strony publiczności, potęgowało jeszcze wewnętrzne rozbieżności. Van Gogh nie liczył się jednak z opinią pseudoznawców, tworzył wedle własnego widziadła, wedle własnych koncepcji artystycznych.

„Wieczność świecąca” Bogdan Grzymała-Kamodziński. (F. Hoelsick). Ten debiut autora, którego znamy z wierszy, drukowanych po czasopiśmie, pozwala zorientować się we wpływach, jakim ulega, a zarazem poznać bliżej wyłaniające się z tych związków i pokrewieństw oblicze poety.

Patronuje zbiorowi Tuwim. Wystarczy przeczytać dwie linijki ze „Swobody”, aby się o tem przekonać: „Tętentem buchnij, wodospad, Skrzydłami bij w niebieskie światło... Gdzieindziej też odzywa się sugestia słowa autora „Słów we krwi”.

Mimo wszystko podbija czytelność tego tomu młodzieńczy rozmach słowa, wcale obfity zasób obrazów poetyckich.

M. Treter. Nieznany cykl Artura Grottgera „WARSZAWA II”. Książnica-Atlas. Nieznane zupełnie w Polsce dzieło Artura Grottgera „Warszawa II”, za którym śp. J. Bołoz Antoniewicz najskrupulatniej czynił poszukiwania, zostało z wiosną r. 1925 odnalezione w Victoria and Albert Museum w Londynie przez H. E.



względem bez zarzutu. Mieczysław Treter poprzedził tekę krótkim, ale treściwym wstępem, ujmującym wszystkie zasadnicze zagadnienia, tak historyczne, jak i artystyczne, wiążące się z niniejszym cyklem.

„Droga do Izabeli” Powieść nie-Frank Thiess mieckiego au- (Wyd. St. Dippa). tora opiera się na dość złożonym konflikcie: bohater utworu, narodowości niemieckiej (z zawodu hodowca kwiatów), tuż przed wojną pokochał młodą Francuzkę, Irenę. Ojciec jej nawet słyszeć nie chce o tem małżeństwie. Wielka wojna rozdzieli ich na zawsze: Irena umiera, pozostaje ich dziecko, które zacięty ojciec Ireny oddaje jakiemuś ogrodnikowi, wyprowadzając je finansowo. Po wojnie naprzno szuka bezimienny bohater „Drogi” swojego dziecka.

Pomaga mu w tem adwokat Beauchamps: widząc jego rozterkę wewnętrzną, podsuwa mu niejaką Izabelę. Izabela zastąpi w sercu nieśczęśliwego ojca zmarłą Irenę. Początkowo będzie podmiotem jego ojcowskich uczuć. Jednakowoż kiedy adwokat Beauchamps przyzna się do podstępów (popelnionego z pobudek bardzo ludzkich) — Izabela zastąpi naprawdę zmarłą Irenę...

NOWY GMACH POLSKIEGO RADJA STANIE W WARSZAWIE.

Plan inwestycyjny Polskiego Radja przewiduje nie tylko wzmocnienie większości stacyj regionalnych, ale również budowę specjalnych gmachów, przystosowanych do celów radiowych. Ostatnio zatwierdzono plan budowy nowego wielkiego gmachu Polskiego Radja w Warszawie. Nowy ten gmach wznosić się będzie przy zbiegu ulicy Puławskiej i projektowanej ulicy Batorego w nowej dzielnicy Marszałka Piłsudskiego w pobliżu placu Unji Lubelskiej. Gmach ten zbudowany zostanie według projektu prof. Pniewskiego. Najwyższą częścią tej monumentalnej budowli będzie 22-piętrowa wieża, w której znajdą się biura telewizyjne, pomieszczenia dyrekcji itd. W nowym gmachu przewidziane są 24 studia. Powstanie też wielka sala koncertowa mogąca pomieścić 120 osób orkiestry symfonicznej, 100 osób chóru i 500 osób publiczności.

NA SCENIE.

WARSZAWA. W Teatrze Narodowym ujrzymy komedję de Flersa i Caillaveta pt. „Zielony frak” w świetnym wykonaniu Cwiklińskiej, Stanisławskiej, Leszczyńskiego, Fritschego, Żeliskiej i T. Frenkla. Dekoracje projektował Pronaszko.

LWÓW. W Teatrze Wielkim wystawiono sztukę amerykańskiego autora S. Kingsley’a pt. „Ludzie w bieli”. W roli głównej wystąpił p. Warnecki, zarazem reżyser widowiska. Z innych wykonawców trzeba wymienić pp. Górską, Bielicką, Machalskiego, Chaniecką, Draczkowską, Barykę, Borowskiego, Staszewskiego i Więckowskiego. Dekoracje opracował p. M. Różański.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 17 lipca.

- 12.03 Poranek muzyczny.
- 16.30 Komedja A. Fredry „Pierwsza lepsza”.
- 17.00 Recital wiolonczelowy Dezyderjusza Danczowskiego.
- 18.00 „Dwa serca w rytmie walca”, operetka Stolz.
- 21.00 „Ta-joj” — wesoła audycja ze Lwowa.
- 22.00 „W letni wieczór” — koncert rozrywkowy.

Poniedziałek, 18 lipca.

- 16.00 Koncert rozrywkowy, w wykonaniu Orkiestry Marynarki Wojennej z Gdyni.
- 18.10 Koncert solistów.
- 19.30 Rodzina Straussów — koncert rozrywkowy.
- 22.00 Koncert symfoniczny z Budapesztu.

Wtorek, 19 lipca.

- 16.00 Drobne utwory i pieśni Edwarda Griega.
- 18.10 Koncert symfoniczny z Krzemieńca. Transmisja z Muzycznego Ogniska Wakacyjnego.
- 21.10 „Vivat semper wolny stan”, lekka aud. muzyczno-słowna.
- 22.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Rozgl. Wileńskiej.

Środa, 20 lipca.

- 16.45 „Żagiel a silnik na okrętach szkolnych” — odczyt.
- 18.00 „Ogrody wieku oświecenia”, feljeton.
- 18.10 Recital śpiew. Anieli Szlepińskiej.
- 18.45 „Młodzieniec z piórem bocianiem” — baśń chińska.
- 21.10 „Chopin a polska ziemia” — IV aud. — „Mazurek zdobywa świat”.
- 22.00 Muzyka symfoniczna Schuberta (z płyt).

Czwartek, 21 lipca.

- 16.00 Koncert solistów.
- 18.10 Arje i pieśni w wyk. Alberta Felińskiego.
- 18.30 „Powrót” — St. Balickiego, premiera słuchowska.
- 19.45 Aud. Konkursowa Polskiego Radja.
- 21.10 Skrzypce i mandoliny — koncert rozrywkowy.
- 22.00 Kone. kameralny z Krakowa.

Piątek, 22 lipca.

- 16.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Lwowskiej.
- 18.10 Utwory fortepianowe w wyk. Arno Heintzego z Łodzi.
- 19.00 Pieśni polskie w wyk. zespołu żeńskiego „Pro Arte”.
- 21.10 „Te brzoza kilka, ten bieg wody” — audycja słowno-muzyczna z cyklu „Dawne piosenki” (z Poznania).
- 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Pavele (IV aud.).

Sobota, 23 lipca.

- 19.00 Recital klarnetowy Józefa Madei.
- 19.30 Ludowe melodie Wileńszczyzny (z Wilna).
- 21.10 Kapela Lud. Feliksa Dzierżanowskiego.
- 21.40 Transm. I meczu pływackiego „Polska—Finlandja”.
- 22.10 „Godzina niespodzianek”.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materiałów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczenia), a nie wprost do Administracji.